MÓJ
PAMIĘTNIK
LITERACKI

Mój Pamiętnik
Literacki

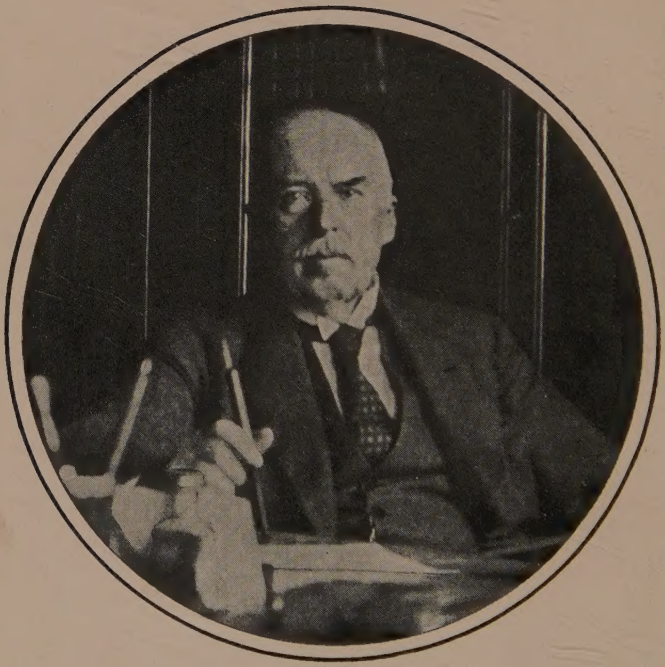

Józef Weyssenhoff

Józef Weyssenhoff

Mój Pamiętnik Literacki

Nakład Księgarni św. Wojciecha
Poznań — Warszawa — Wilno — Lublin

POLISH BOOK IMP. CO., INC.
38 UNION SQ., NEW YORK, N.Y.

Czcionkami Drukarni św. Wojciecha

Słowo wstępne.

Ogłoszenie pewnych objaśnień do wydanych przeze mnie utworów literackich nęci mnie ze względów egoistycznych, — czego się nie zapieram — ale i z innego powodu wydaje mi się możliwe, a nawet stosowne. Ciągle jeszcze nowe wydania moich książek znajdują nabywców, co dowodzi, że czyta je drugie pokolenie. Dawniejsi i nowsi czytelnicy moi, zwłaszcza ciekawi procesów tworzenia, przyjmą może chętnie ten szereg wyznań pamiętnikowych, objaśniających moje pobudki i zamiary pisarskie, które zestawić będą mogli ze swemi wrażeniami i ocenami.

Nie będzie to naturalnie ani ocena mojej działalności literackiej, ani regularna dyskusja z krytyką, która zresztą była dla mnie naogół łaskawa. Zgromadziłem tu takie powiadomienia i uwagi, które tylko autor może dać od siebie: zeznania mające wartość dokumentów, dodatkowe szkła do prześwietlenia utworów. Co chciałem zrobić? jakich moje dzieła są wynikiem przeżyć, namysłów, zasad estetycznych

i społecznych? — o tem można się sporo dowiedzieć z „Pamiętnika". Co zaś zrobiłem? jak się usiłowania udały? — o tem nic prawie tu się nie znajdzie. Sąd o moich książkach pozostawiam innym, nie dlatego, abym się korzył przed każdym wyrokiem o mnie ferowanym, lecz dlatego, że pochwała własnej produkcji dopuszczalna jest tylko w przemyśle i handlu.

Jeżeli zaś z czytelnikami naprawdę „łaskawymi", czyli przyjaciółmi moich książek, rozmówię się szczerze o swoich zamiarach pisarskich, nie wezmą mi tego za złe na pewno. Czytelnicy zaś obojętniejsi znajdą tu, obok wynurzeń osobistych, sporo teoryj estetycznych, które mogą ich zająć niezależnie od mojej osoby.

I.

Nie będę zajmował publiczności roztrząsaniem moich wierszy dziecinnych, których nikt nie zna, ani młodzieńczych utworów satyrycznych wierszowanych dla użytku kolegów gimnazjalnych i uniwersyteckich. Nie należą one do literatury. Zwalniam też czytelników od przeglądu pierwszych mych artykułów *e tuti quanti* drukowanych po akcie chrztu literackiego, czyli po objęciu redakcji *Bibljoteki Warszawskiej* od 1 stycznia 1891 roku. Miałem podówczas lat trzydzieści i słabe jeszcze przygotowanie na redaktora w większym stylu. Że *Bibljoteka* ruszyła odrazu żwawo naprzód i rozwinęła się pomyślnie — zasługa w ten główna Djonizego Henkiela, któregom na mentora swojego i kierownika pisma zaprosił. O tym bezimiennym pisarzu, czystym patrjocie, inspiratorze dzieł dobrych, a czasem słynnych, nieraz tu jeszcze wspomnę.

Rok 1891 urzędowego zapisania się do cechu literatów jest mi pamiętny z powodu innego jeszcze szczęśliwego pomysłu. Pod jesień

wybrałem się w samotną podróż po Grecji, najpiękniejszą w życiu mojem podróż, której nikłe wspomnienie zostawiłem w „Dzienniku z podróży po Grecji", drukowanym w *Bibljotece Warszawskiej*, następnie w broszurze, odbitej tylko w 300 egzemplarzach. Jest to z owej epoki jedyne moje dziełko godne jeszcze przeczytania, ze szczerych głębi lirycznych płynące i dostrojone stylem do przedmiotu. Ale i o tem dłużej mówić nie będę. Przechodzę odrazu do książki napisanej w roku 1896, opublikowanej w następnym, która mój dotąd problematyczny tytuł polskiego pisarza potwierdziła ostatecznie — do „Żywota i myśli Zygmunta Podfilipskiego".

Ażeby jednak wyjaśnić genezę tej książki, potrzebny tu dłuższy ustęp pamiętnikowy, a nawet autobiograficzny.

Od wczesnego dzieciństwa pełen byłem zapału i czci dla powołania pisarza, które wydawało mi się raczej kapłaństwem, niż karjerą. Obcowałem bowiem z mistrzami dawnymi przez czytanie ich dzieł, nie miałem zaś w swem pobliżu literatów żyjących, nierychło poznałem krzątania i swędy kuchni literackiej. Jedynym towarzyszem mych lat najmłodszych, usposobionym tak jak ja do literatury, był brat mój cioteczny Konstanty Marja Górski, misterny poeta w duszy, niewypowiedziany nigdy w proporcji do swego świetnego przygotowania lite-

rackiego i przedwcześnie zgasły. — Wychowywano mnie też wcale nie na literata, choć ceniono we mnie poszlaki talentu, lecz na jakiegoś mniej więcej wykształconego „obywatela", co w języku ówczesnym znaczyło: zamożnego szlachcica ziemianina. Z rozpędu tego systemu zapisałem się do uniwersytetu w Dorpacie na wydział prawny, stosowny podobno do stanu obywatelskiego, zamiast studjować raczej filologję, sanskryt, gramatykę porównawczą, któreby mi tyle przysług mogły oddać w późniejszem życiu! To też traktowałem „prawo" bardzo niedbale, studjując pilniej wybujałe życie burszowskie w niemieckim podówczas Dorpacie, upajając się obyczajami minjaturowej, wolnej republiki studenckiej, w której nasza korporacja („Konwent polski") grała też niepoślednią rolę. Opis barwnych tych przeżyć nie należy do obranego tutaj przedmiotu. Ale nie złorzeczę bynajmniej tym czterem latom niemal straconym dla nauki, lecz bogatym w doświadczenia towarzyskie, a nawet społeczne. Jednak przygotowanie moje literackie nie zyskało nic z teorji, wzięło zaś z życia stos doświadczeń niepodobnych do mych wrażeń dziecięcych, ale cennych może głównie dlatego, że były silne i nowe.

Powróciwszy do kraju, osiadłem w odziedziczonym pięknym majątku ziemskim, stałem się „obywatelem" według utartego typu, bez technicznego przygotowania do nowego zawo-

du, ze wszystkiemi konsekwencjami wynikającemi z zasadniczego ominięcia swego naturalnego powołania. Był to bezwarunkowo najbardziej jałowy okres mego życia. Jako dorobki umysłowe z owych czasów mogę zanotować tylko tyle, że zgromadziłem piękną bibljotekę i zbiory przedmiotów sztuki, że dużo czytałem i przyglądałem się pilnie tłumom i indywiduom ludzkim. Ale moje projekty pisarskie, niegdyś apostolskie, następnie artystyczne, wpadły wówczas w stan odrętwienia, czasem aż bolesnego. Nie wyrzekałem się ich, lecz wątpić zaczynałem o możności urzeczywistnienia. Z lat 1883 do 1890 nie mam nic godnego okazania z mojej produkcji literackiej.

Z tej nędzy moralnej wyrwało mnie objęcie redakcji *Bibljoteki Warszawskiej*, nowo zawarta przyjaźń z Henkielem, podróż do Grecji i inne nastroje, które mi duszę orzeźwiły i skierowały ku celom dawno mi świtającym. Nie odrazu przyszły mi do głowy sformułowane pomysły dzieł większych, lecz odżyła ta rozkoszna, znana każdemu urodzonemu pisarzowi żądza i potencja tworzenia. Ograniczając się do oddawania drukarni drobnych pism, długo planowałem dzieła duże, za duże zwykle i niewykonalne, porzucałem je, śniłem o innych. Rzeczywiście śniłem, a miewam sny prawie co noc, najczęściej niedorzeczne, czasem zupełnie zdatne do przerobienia na utwory literackie.

Redagowanie pisma zatrzymywało mnie na stalszy, niż dotychczas, pobyt w Warszawie. Nie będę udawał, że tylko to poważne zajęcie więziło mnie w mieście. Owszem — mnóstwo pobudek lekkomyślniejszych. Tylko już moje życie, rozrzucone w wielu kierunkach, opromieniała pewność, że będę prędzej, czy później pisarzem niepoślednim. Ten promień nadziei uszlachetniał nieco wędrówki przez różne sfery i różne zabawy, w których towarzyszyli mi przeważnie ludzie dość mierni. — W ostatnim dziesiątku przeszłego stulecia spotykałem się najczęściej z tak zwanym ongi „wielkim światem".

Arystokrację rodową znać było jeszcze podówczas w życiu społecznem kraju, choć rola jej bardzo zdrobniała, a nie zmieniły się pretensje do hołdów, rzekomo należnych za zasługi przodków. Warstwa ta, dobiegająca kresu historycznego istnienia, miała dużo cech i osobliwości ciekawych dla ludzi usposobionych spostrzegawczo. Jej przywary, bynajmniej nie gorsze od przywar innych warstw, dostarczały żeru demagogom i autorom operetek, wogóle tłumowi zazdrosnych raczej, niż patrjotów. Ale tkwiły w niej i pierwiastki sympatyczne: dziedziczna estetyka, kultura towarzyska, a nawet tu i ówdzie zdarzały się umysły wyższe, choć zniechęcone do czynu w nowych warunkach politycznych i społecznych.

Nie walczyłem zasadniczo z arystokracją — najprzód zapewne dlatego, że miałem wśród niej krewnych i przyjaciół, — ale bardziej jeszcze z przekonania, że zwalczać jej nie należy. Usuwała się sama z widowni obywatelskiej — aż zanadto — wielkie grzechy, które jej wypominano, były albo bardzo starożytne, albo przesadzone w celach wcale niechwalebnych. Gdy nasi Katonowie do procesu wytaczanego dzisiejszej arystokracji włączali ciągle jeszcze proces o Targowicę, jakżeby przed ich sądem wypadł proces chłopów, gdyby im pamiętać mniej zamierzchłą rzeź galicyjską? A znowu gdyby zapuszczać się w dawne dzieje, dużo więcej znalazłoby się bohaterów i budowniczych Polski pośród karmazynowej szlachty, niż w innych warstwach.

Jak więc rzekłem, nie miałem dla arystokracji złych uczuć. Główny do niej czułem żal, że nie umiała potwierdzić swych tytułów i pretensyj jakiemś nowożytnem działaniem świetnem i pożytecznem, że zbyt mało dbała o czynny udział w życiu narodowem, że stawała się niby egzotyczną, cieplarnianą florą niezanurzoną w grunt swojski, jakąś koterją iluzorycznie wywyższoną ponad własną ojczyznę, grupą grawitującą raczej do podobnych grup obcych i łączącą się z niemi dla wspólnych interesów klasowych. Hasło: „arystokraci wszystkich krajów łączcie się" — nie zostało wypo-

wiedziane, ale istniało w instynktach, w porozumieniach międzynarodowych. To hasło, oprócz że mi było wstrętne, uważałem za zgubne dla samej arystokracji polskiej, która, tracąc swój charakter narodowy, rychło mogła się przerodzić w ordynarną plutokrację.

Ciągłe obracanie się w tych sferach zaprowadziło mnie naturalnie i do arystokratycznego klubu, którego członkiem byłem przez lat kilkanaście. Ale przymiotnik „arystokratyczny" nietylko nie wyczerpywał charakteru klubu, lecz był wcale niestosowny. Spotykało się tam sporo członków rodzin historycznych, lecz i bardzo wielu znanych zaledwie z historji tegoż klubu. Towarzystwo miało być doborowe, przyjęcie na członka było trudne, jednak namnożyło się typów ogromnie szarych i parwenjuszów nieco śmiesznych. Klub nazywał się „Myśliwskim", ale nie miał polowania i nie mieścił w swych murach organizacji łowieckiej. Można powiedzieć, że klub nie był nigdy tem, czem się czuł, ani czem się nazywał. Czuł się zaś w owych czasach czemś wybitnie wyższem, niż dom gry, którym był w istocie. Przykrą jego cechą była duża domieszka Rosjan, gdyż klub założony został niegdyś przez namiestnika Berga dla zaprzyjaźnienia towarzystwa polskiego z rosyjskiem i ponosił konsekwencje tego wstydliwego założenia; roiło się tam od wielkich i małych książąt rosyjskich, generał-gubernato-

rów, wyższych urzędników i oficerków. Stąd też i polityka klubu, ograniczona na szczęście do gawęd, musiała być ugodowa.

Gdybym tu pisał ogólniejszy pamiętnik, nie tylko urywki pamiętnikowe dla specjalnego celu, salwowałbym z klubu „Myśliwskiego" całe szeregi ludzi szanownych, nie jako „sprawiedliwych" z Sodomy i Gomory, lecz jako przyjaciół z mniej przyjaznego towarzystwa. Warunków z czasów niewoli nie można sądzić bezwzględnie na zasadzie naszej wolnej i niepodległej logiki dzisiejszej. Zapytać jednak mnie kto może, dlaczegom ja się zapisał do klubu tak mało pokrewnego z duchowemi potrzebami polskiego pisarza? Odpowiem bardzo szczerze.

Gdym się zapisywał, nie byłem jeszcze de facto polskim pisarzem. Zapisałem się przez sybarytyzm, dla zyskania wesołej kompanji, udziału w komforcie i zabawach; także przez leniwe naśladownictwo, gdyż wielu moich bliskich znajomych uczyniło to samo. Dodać muszę, że byłem stale fronderem przeciw ogólnemu charakterowi instytucji. Ale ten mój krok nieopatrzny udał mi się kapitalnie pod pewnym względem, w tym bowiem klubie zebrałem główne materjały do książki o Zygmuncie Podfilipskim. W pełni zatem wesołych lat klubowych stałem się na serjo polskim pisarzem. Nie potrzebuję dodawać, że zamiar pisarski przy-

szedł mi *a contrario*, nie z umiłowania przedmiotu, lecz z oburzenia na przedmiot.

Dzieło literackie, które powoli we mnie się składało, wcale różne było od oburzonej reprymandy lub kaznodziejskiej rozprawy. Z lubością artystyczną przyglądałem się niektórym wyrazistym typom klubowców, chwytałem ich na gorących uczynkach miernoty, zbierałem miody z chwastów. I zasadnicze oburzenie przerabiałem w sobie na rozkosz tworzenia satyry.

Jeszcze mój zamiar niezupełnie był ustalony, gdy pewnego dnia spotkałem, jakby z zewnątrz do mnie przychodzące treść i formę dzieła.

Wsiadłem na noc do pociągu z Warszawy do Lublina, a po krótkiej drzemce, skoro dnieć zaczęło, patrzyłem na mijające obrazy polskiego poranka, który wydał mi się wyjątkowo piękny. Zacząłem notować ołówkiem opis widoków i nastrojów — i pomyślałem, jak te gorące wyrazy wydałyby się śmiesznemi owym typom klubowym, które obserwowałem. W tej chwili usiadło naprzeciw mnie widmo Zygmunta Podfilipskiego, a ja się przedzierżgnąłem w tego z głupia franta Ligęzę. Zacząłem snuć w myśli podstępne rozmowy z jakimś człowiekiem, który sobie urobił „wyższości" z misternie ugrupowanych i przenominowanych przywar społecznych i z lekkiej pozłoty kultury zachodniej.

Układałem sobie te rozmowy na wzór rzeczywistych, które miewałem w klubie i poza klubem, widziałem kolejno przed sobą to tego, to owego znajomego o pożądanym typie, ale żadnego nie naśladowałem żywcem i w całości, jak mi to później przypisywano wielokrotnie. Mam przekonanie, że żaden żywy człowiek, choćby w stylu najwyrazistszy, nie może być portretowany bez zmian w dziele literackiem. Portret jest zawsze za blady i nadto rozpierzchły do użytku powieściopisarza, którego sztuka zasadza się na doborze cech i rysów charakterystycznych i zmierzających do jednolitego sensu literackiego. Dlatego, jeżelim gdzie użył portretu znajomego indywiduum, to tylko w szkicu i na trzecim planie. Do postaci głównych, mocno i celowo zbudowanych, wzory pojedyńczych ludzi wcale się nie nadają.

Chociaż zastrzeżenie to często powtarzałem, pytano mnie uporczywie, kto to jest Podfilipski? Zdarza się to zwykle pisarzom powieści społecznych. Najbardziej zadziwił mnie jeden list uczonego profesora (wprawdzie nie literatury). Ten mąż wielce na innem polu zasłużony, prosił mnie, abym mu dał egzemplarz drukowany „Podfilipskiego" z dopisami na marginesach, z jakich osób realnych zrobione zostały postaci mojej powieści. Takim komentarzem opatrzony egzemplarz obowiązywał się zacny profesor opieczętować i złożyć w wielkiej bibljotece

z nadpisem: „do otworzenia za lat pięćdziesiąt". Pomimo wdzięczności za tak gorliwe zainteresowanie się moją produkcją literacką, nie mogłem zadośćuczynić prośbie profesora, przedewszystkiem dlatego że nie umiałbym.

„Żywot i myśli Zygmunta Podfilipskiego", oprócz swej formy podstępnego panegiryku i treści dosyć nowej, ma jedną jeszcze odrębność od innych moich książek. Jedyna to z nich, której plan, poprzedzający rozpoczęcie pisania, ułożyłem metodą filozoficzną, nie szeregiem obrazów, notat bezpośrednio do tekstu użytecznych, lub zapomocą krótkiego zanotowania fabuły. Zastanowiłem się najprzód sumiennie nad tem, jak mój Podfilipski zapatruje się na siebie samego, na obowiązki swe względem społeczeństwa; jakie ma pojęcie o religji, o honorze; jak pojmuje kobietę i miłość; jakich i za co ludzi ceni, a jakich lekceważy; jakie może mieć zdanie o historji, o literaturze i sztuce. Dopiero gdym ustalił ostatecznie kategorję filozoficzną mego bohatera, zacząłem go wprawiać w ruch, przeprowadzać przez obrazy i sceny dobrane. Fabułę dostosowałem później do rozdziałów odpowiadających paragrafom mego studjum psychologicznego nad jedną odmianą człowieka, której poświęciłem książkę i której podporządkowałem inne postacie działające. Zdaje mi się nawet, że w książce czuć podkład kategoryj filozoficznych.

Jak już rzekłem, Podfilipski nie jest kopjowany z jakiejś jednej żywej postaci. Śmiem nawet powiedzieć, że jest zbyt konsekwentny, zbyt doskonały właśnie w swych niedoskonałościach, aby mógł być portretowem studjum z jednego człowieka. Ale gdym o nim pisał, wydawał mi się osobą żyjącą. Mogłem podyktować bez omyłki jego zdanie o byle jakiej materji. I książka, której pisanie rozpocząłem bezpośrednio po zjawieniu mi się gotowej formy w wagonie, szła mi tak łatwo i szybko, jak prawie żadna. Po 3—4 miesiącach samotnego pobytu na wsi (w Samoklęskach) była gotowa, a choć ją wydałem dopiero w rok później, po ostatecznem oszlifowaniu, pozostała bez zmian zasadniczych.

Książkę, jeszcze w rękopisie, przyjęło do wiadomości i do serca kilku przyjaciół przedewszystkiem Djonizy Henkiel, któremu ją dedykowałem. Wyznam, że i mnie samemu podobała się. Czułem, żem stworzył coś niezupełnie pospolitego, a oddawszy rzecz do druku oczekiwałem z upragnieniem szerokiej rozmowy rodaków o moim temacie. Gdy zaś, po wyczerpaniu natychmiastowem dwóch pierwszych wydań, książka zaczęła rozchodzić się szeroko po świecie i posypały się o niej setki sprawozdań i recenzyj, powodzenie książki sprawiło mi jedną z najszczytniejszych w mojem życiu radości. Nie rozdymało mnie pychą, ile że doraź-

nego rozgłosu nie uważam za nieomylny sprawdzian wartości dzieła, a o poziomie krytyki literackiej niewiele trzymam, chociaż wysoko sobie cenię zdania kilku poważnych krytyków. Radość moja wynikała głównie skądinąd. Otom dopiął, po długich próbach i opieszałościach, wymarzonego oddawna celu: zdobyłem możność zniewalania wielkich mas ludzi do myślenia mojemi myślami, do wzruszania się mojemi uczuciami. Z tej władzy sugestyjnej skorzystać mogłem dla rozpowszechniania wpływów pięknych i pożytecznych, głównie wśród Polaków. Od lat dziecięcych marzyłem o nauczaniu mego narodu zapomocą sugestji artystycznej i nigdy nie pozbyłem się tych pragnień, ani przekonania, że najwyższa literatura ma na celu nie piękno abstrakcyjne, lecz piękno dobroczynne.

Nie wyobrażałem sobie przecie, żem przez jedną książkę zdobył stanowisko wyroczni, ale cieszyły mnie bardzo odgłosy wypuszczonej książki, która przez czas dłuższy dźwięczała bez ustanku w atmosferze literackiej Polski, a miała następnie swe echa wtórne i w innych krajach. Oprócz wszystkich chyba zawodowych krytyków naszych pisali o niej profesorowie, księża, kobiety i nawet ludzie, którzy dotąd nic nie drukowali o literaturze, poczuli potrzebę ogłoszenia zdania o Podfilipskim. Zdania były naogół pochwalne, czasem entuzjastyczne, nie-

kiedy kwaśne, albo i niezdarne. Ale wielki gwar, który się uczynił, dyskusja, oceny i repliki — dowiodły mi, że książka żywo zajęła kraj cały, żem zyskał życzliwy posłuch i odtąd mówić mogę z szerokiemi kołami z osiągniętego stanowiska.

Niepokoiła mnie tylko jedna wątpliwość: czy mego wynalazku stylowego nie przesubtelizowałem? Wiadomo, że od początku do końca książka ta udaje panegiryk, a zarazem ciągle podaje w wątpliwość cnotę, a nawet rozum i uczciwość Zygmunta Podfilipskiego. Tę ciągłą grę w zagadki etyczne umożliwiłem przez to, że dodałem Podfilipskiemu pewne wdzięki konwersacyjne, Ligęzę zaś (tego, który pisze niby panegiryk) uczyniłem łatwowiernym aż do naiwności. W miarę jak postępuje opowiadanie, czytelnik coraz bardziej traci wiarę w moralną i społeczną wartość bohatera; aż nareszcie Podfilipski okazuje się nicponiem, a jego panegirysta satyrykiem. Chodzi zresztą głównie o to, jak dorysowana jest postać tytułowa Zygmunta Podfilipskiego, gdyż Ligęza jest właściwie tylko pozą, przybraną przez autora, sposobem pisarskim bardziej, niż osobą działającą. Mnóstwo uważnych i inteligentnych czytelników tę moją grę zrozumiało i ucieszyli się, że im dałem poznać typ w literaturze nowy, choć w życiu rozpowszechniony i żem tego dokonał sposobem niepowszednim. Znaleźli się jednak

i tacy u nas, którzy panegiryk Ligęzy wzięli na serjo. Póki to byli intelektualni sklepikarze, albo zatwardziali sybaryci szukający tylko aprobacji swych zasad — nie dziwiłem się. Ale i paru krytyków okazało zupełną nieprzenikliwość w stosunku do mego zamiaru satyrycznego, a jeden profesor uniwersytetu dał mi nawet admonicję za szerzenie zasad fałszywej filozofji.

Takie odosobnione głosy pobudziły mnie do namysłu, czy w niektórych miejscach tekstu nie przesoliłem zagadkowością, zaciemniając swe istne zamiary? — Bo że Podfilipski powie od czasu do czasu coś błyskotliwego, dowcipnego, lub nawet prawdziwego — to niezbędne. Inaczejby nikt nie mógł mieć o nim choćby chwilowege złudzenia, że jest to człowiek inteligentny i przyjemny. — Że Ligęza tu i ówdzie może się wydać zbyt naiwnym — to przecie zaraz poprawi swą reputację, gdy się ujawni, że użył oślej skóry jako maskarady i że udało mu się skutecznie oszukać czytelnika. — Rewidowałem długo swój tekst — i nic nie zmieniłem.

Winszowałem sobie tego uporu następnie, gdy „Podfilipski" zaczął się ukazywać w tłumaczeniach na obce języki. — Z pomiędzy kilkudziesięciu recenzyj niemieckich, które mi nadesłano, ani jedna nie podawała w wątpliwość mojej intencji satyrycznej. — Francuski mój wy-

dawca (Plon) zaproponował, aby usunąć w tłumaczeniu „Annexa", gdyż i bez nich postać Podfilipskiego jest zupełnie dorysowana. Nie zgodziłem się na to, gdyż powieść była już szeroko rozpowszechniona. Annexa zaś napisałem właśnie dlatego, aby nie pozostawić żadnej wątpliwości o mojem zapatrywaniu na wartość moralną Zygmunta Podfilipskiego.

Sądzę, że moje zamiary pisarskie są w książce wykonane. Takiego zresztą zdania są rzesze ludzi, którzy to zdanie ujawnili. Ja zaś tu nie zajmuję się oceną swych utworów, tylko daję do nich objaśnienia subjektywne, ogółowi nieznane, lub trudniejsze do odgadnienia z samego tekstu. Naprzykład przy pisaniu „Żywota Z. Podfilipskiego" miałem jeden zamiar techniczny ciągle na myśli, który muszę objaśnić przez rozwinięcie pewnej teorji.

Szczytem powieściopisarstwa jest wywołanie w czytelniku złudzenia żywej prawdy zdarzeń i dusz ludzkich. Jak się to osiąga? — za długoby mówić, a i wogóle niepodobna sformować w tym względzie przepisów. Chcę tylko wspomnieć o zewnętrznej formie opisu, która im większe ma prawdopodobieństwo, tem łatwiej trafia do przekonania czytelnika. Utartą formą powieści jest spisane opowiadanie autora, któremu trzeba wierzyć, że wie wszystko o zdarzeniach i osobach w powieści uwydatnio-

nych; wie naprzykład, co przy rozmowie kilku osób każda z nich myśli, poza tem, co mówi; wie także, co każda myśli, gdy odejdzie na inne miejsce; zna najtajniejsze losy każdej z kilku, lub kilkudziesięciu osób wyprowadzonych na powieściową widownię. Na te wszystkie nieomylne powiadomienia czytelnik daje autorowi kredyt zgóry, gdyż inaczej nie zajmowałoby go wcale opowiadanie. Ale zawsze w świadomości czytelnika majaczy uśpiona trzeźwość: „Skąd autor może to wiedzieć? — przecie to tylko sztuka, albo i blaga? — W życiu może tak być, a może inaczej?" — Zadaniem pisarza jest: uśpić te trzeźwe wątpliwości, wzbudzić, choćby na parę godzin, wiarę w absolutną realność podawanych zdarzeń, w spowiedniczą ścisłość zeznań, w lekarską biegłość diagnozy. — Aby się zbliżyć do tak mocnego panowania nad umysłem czytelnika, dobrze zrobi pisarz, usuwając jak największą ilość konwencyj literackich zbyt rażących, a przedewszystkiem ukrywając swoją wszechwiedzę. Może tego dopiąć, obierając formę pamiętnika spisanego niby i powierzonego mu przez głównego bohatera powieści. Wtedy publikacja, umiejętnie wystylizowana, nabiera wielu cech przekonywających czytelnika. Ale znów autor zacieśnia sobie pole rozwinięcia swej fakundy i wyobraźni, udając ciągle styl i tok myśli urojonego człowieka, tem bardziej, jeżeli ten czło-

wiek, jedyny przemawiający w tekście, ma mieć umysł niebogaty i styl powszedni.

Te wszystkie namysły zbierały się we mnie przed rozpoczęciem pisania „Żywota Podfilipskiego". Obrałem nareszcie formę, o ile mi się zdaje, szczęśliwą. Kazałem pisać o Podfilipskim jakiemuś literatowi Ligęzie, towarzyszowi i wielbicielowi zmarłego już, przeto zdefinjowanego... bohatera — i dałem Ligęzie zasób stylu i kultury literackiej, na jaki mnie stać było, bo mój własny. Dodałem mu tylko rys zaślepienia i zupełnej łatwowierności w stosunku do osoby nieboszczyka, — rys, który po przeczytaniu książki rozwiewa się przez łatwe odkrycie, że cały Ligęza jest tylko sposobem literackim autora. Ten podstęp dodaje opowiadaniu dużo prawdopodobieństwa: niby to Podfilipski zyskał sobie po śmierci niezgrabnego biografa, który chcąc go chwalić, ukazał go wcale niegodnym pochwały.

Ten sposób ujęcia satyry wydaje mi się nowy, a podkreślam go dlatego, że w żadnym z bardzo wielu artykułów o Podfilipskim, które czytałem, mój wynalazek pisarski nie został wyłuszczony.

Parę słów o przekładach „Żywota Podfilipskiego" na obce języki. Nie znam ich wszystkich i dowiaduję się od czasu do czasu, aż do przeszłego roku, o istnieniu niektórych przekładów moich pism w Niemczech i Czechach,

drukowanych w początku wieku. Najlepszy ze znanych mi przekładów „Podfilipskiego", to francuski, dokonany przez znakomitego pisarza i wybornego znawcę polskiego języka Pawła Cazin. Wyszedł w Paryżu u Plon'a i zyskał już sobie reputację wzorowego przekładu.

Na język niemiecki tłumaczył mnie p. B. W. Segel, którego znam tylko z paru listów. Nadał książce tytuł: „Ein Uebermensch, Leben und Gedanken des Herrn Siegmund von Podfilipski". Przekład ten wydany parę razy w Sztutgardzie i w Lipsku (Deutsche Verlagsanstalt 1902) oddaje dobrze części tekstu rozumowane, lecz wulgaryzuje rozmowy, które brzmią jakby w niemieckiej knajpie, zamiast w salonie. Jest też parę śmiesznych lapsusów. Naprzykład gdy mówię, opisując ulicę warszawską przed świętami wielkanocnemi: „przebiegał chłopiec od cukiernika z z pstrokatym mazurkiem na głowie", p. Segel tłumaczy: da lief der buntgekleidete Masurenknabe..."

Jest jeszcze inny przekład niemiecki „Podfilipskiego" wydany przez „Fischers Verlag". Nie miałem go dotąd w ręku.

Bez ceremonji potraktował mój tekst p. Arronet, tłumacz na język rosyjski (z niemieckiego, co się okazuje z tytułu „Swierch czełowiek" — Nadczłowiek — naśladowanego z pomysłu p. Segla). Pan Arronet książkę

skrócił, obcinając, między innemi, parę ustępów mniej przyjemnych dla Rosjan!

Przekładów na język czeski (p. Vondraćka) i chorwacki nie mogę skontrolować, nie znając tych języków.

Doświadczenie moje i innych kolegów — literatów polskich powinny nas skłonić do stowarzyszenia, mającego na celu ochronę i poniekąd kierownictwo przekładów z polskiego na obce języki. Przed wojną i jeszcze podczas wojny tłumaczył nas i wydawał, kto chciał, najczęściej bez pozwolenia autorów, bez jakiejkolwiek zapłaty. Obecnie od takich procederów broni nas Państwo polskie. Ale my, literaci, brońmy się od niepowołanych i nieudolnych tłumaczów.

II.

Nierychło jedna po drugiej następowały moje książki. Czy mam to przypisać lenistwu, czy zbytniemu oglądaniu ze wszystkich stron projektu, zanim go wykonam? Zapewne obie te właściwości tamowały moją płodność literacką. Obie opatruję komentarzem.

Lenistwo moje nie jest nigdy zupełną bezczynnością, która męczy mnie, gdy przypadkiem bywam na nią skazany. Ale jak lenistwo w służbie Bożej, istnieje też lenistwo w służbie Sztuki, gdy się ją zaniedbuje dla zabaw, lub innych zajęć. Do tej odmiany grzechu głównego muszę się przyznać.

Inaczej się ma z drugą przyczyną ociągania się przed rozpoczęciem książki. To pochodzi z dążenia do możliwej doskonałości, a grzeszyć może tylko przez zbytnie skrupuły.

Po ukończeniu „Podfilipskiego" napisałem wkrótce nowelę, właściwie powiastkę „Za błękitami"; następne zaś dwa lata nie przyniosły nowego plonu. Przysłuchywałem się echom mej pierwszej książki, co nie było prze-

cie zajęciem, i pogrążałem się w wirze salonowo-klubowym głębiej, niż kiedykolwiek.

Chwili złożenia się w mojej głowie drugiej powieści p. t. „Sprawa Dołęgi" nie mogę określić tak stanowczo, jak przy powstaniu pierwszej. Czułem pilną potrzebę dalszego ciągu działności literackiej, miałem dużo do powiedzenia wciąż jeszcze o tej sferze „wielkiego świata", w której żyłem. W „Podfilipskim" dyskredytowałem typ samoluba i pozera, należącego pozornie tylko do arystokracji; teraz chciałem przedstawić wielkich panów prawdziwych (co do genealogji), nie ukrywając ich wad, ale wyławiając z ich grona i typy sympatyczne, ujmujące przez pewne wdzięki i zalety. Dążąc zawsze do stworzenia dzieła choć pod jakimś względem nowego w literaturze, miałem tu jedno pole rozległe, a niewyzyskane wówczas należycie przez żadnego ze spółczesnych pisarzy: życie arystokracji na wsi i „między swoimi". Pisarze, którzy to życie brali za przedmiot, tworzyli obrazy blade, a niektórzy fałszywe aż do śmieszności. Mając pod tym względem autentyczniejsze powiadomienia i doświadczenia, zamierzałem roztoczyć szeroki obraz życia arystokracji, a zarazem prześwietlić i zrewidować ich ideały społeczne, oddzielając złe od dobrych, poważne od śmiesznych, według mego zrozumienia.

Ten pomysł nie był we mnie nowy; nosiłem się z nim dawniej, jeszcze w latach 1887—1890, próbując go wcielić to w wielki dramat wierszem, to w powieść prozą. Ale tamte utwory rozsypywały się, lub utykały na nieprzezwyciężonych trudnościach. Zaledwie z paru scen dawniejszych, z cieniów przerobionych na żywe postaci, skorzystałem dla „Sprawy Dołęgi". — W starszym pomyśle był patos, postaci tytaniczne, nieokreślona epoka. Pomysł drugi, zaledwie z tamtym ideowo pokrewny, związałem z dniem bieżącym i oblekłem w formę zupełnie realistyczną.

Planując „Podfilipskiego" wysilałem się na pomysły nowej formy i na inne oryginalności. Teraz umyśliłem zastosować formę najbardziej utartą, klasyczną. Może dlatego, że utwór miałem już zdawna tak naszkicowany, ale poczęści i w odpowiedzi paru drobnym krytykom, którzy na przekorę powszechnemu chórowi aprobacyjnemu, wywołanemu przez moją książkę o Podfilipskim, ogłosili dość ryzykowne proroctwo, że ta książka jest dobra, ale autor zapewne nigdy nie napisze prawdziwej powieści (?) — — Tak proste głupstwo, wykrzyknięte z tłumu, zaważyło jednak trochę na szali mego wyboru, godząc się zresztą z moim ówczesnym zamiarem. Obrałem tedy formę najzwyczajniejszą, istny kanon powieści, z różnobarwną galerją osób, z miłością ubogiego młodzieńca, który

był nawet „szlachetnym inżynierem". Jedyną nowością w tym pomyśle był autentyczniejszy, niż dotychczasowe, materjał obserwacyjny, lepsza znajomość sfery społecznej wyprowadzonej na widownię. Miałem przytem niezłomną ambicję i szczery zapał do napisania czegoś w tym rodzaju pierwszorzędnego.

Jak się powieść udała? — nie mnie o tem sądzić. Ale wstrzymać się nie mogę od omówienia jednej w niej usterki, zależnej mniej ode mnie, niż od epoki, w której pisałem, pod cenzurą rosyjską.

Chodzi tu o sprawę wielkiej doniosłości krajowej, którą wymyślił i podjął silny pracownik polski, Jan Dołęga, a następnie powierzył ją gronu arystokratycznemu (Zbarazkim, Zbąskiemu et consortes), ufając, że ci panowie, mający wpływy w Petersburgu, uzyskają aprobatę i pomoc rządu rosyjskiego dla tej sprawy. — Otóż na tę sprawę kapitalną, a grającą wielką rolę nietylko w fabule, lecz i w psychice osób — obrałem projekt sieci nowych dróg bitych na ziemiach polskich. Lepiej byłoby postawić na tem miejscu projekt autonomji Królestwa, albo oświaty ludowej. Ale cenzura moskiewska nie pozwoliłaby na takie wybryki polskie, nawet w literaturze. Wybrałem tedy sprawę szos, bardzo ważną, lecz niedostateczną dla napięcia dramatu w duszy Dołęgi, dla wyjaskrawienia niedołęstwa i „ugodowości" książęcych protek-

torów, którzy sprawę przewlekli i zaprzepaścili, pocieszając się tylko zawarciem przyjaźnej komitywy z dygnitarzem rosyjskim, hrabią Zellerem. Ton powieści w odpowiednich miejscach jest z tego powodu osłabiony i zmatowany.

Jeszcze jedną sztuczkę przy druku powieści wyrządziła mi przeklętej pamięci cenzura. Jan Dołęga ma być synem owego Dołęgi (Zygmunta Sierakowskiego), jednego z męczenników powstania 1863 roku, powieszonego przez Murawjewa w Wilnie. To synostwo nie jest historyczne, wspominam więc o niem tylko mgliście. Ale w śnie tyfusowym, w który mój Jan Dołęga zapada po zbankrutowaniu wszystkich swych ukochanych spraw publicznych i osobistych, zrobiłem mętną, jednak dla oświeconego Polaka zrozumiałą, wizję kaźni ojca. Tę mi cenzura nieodwołalnie skreśliła; pozostały strzępy trudno zrozumiałe. Ojciec ten miał się we śnie mienić między swoją postacią a widmem Polski, miał uosabiać tradycyjny nakaz miłości i obrony ojczyzny. — To wszystko zepsuła cenzura.

Wprawdzie czytelnicy polscy owej epoki (1901) wprawni byli w czytanie między linjami i chwytali wlot niedomówienia patrjotyczne. Jednak spotkał mnie zarzut ze strony Włodzimierza Spasowicza, że sprawa szos jest podrzędna (?). Na kwaśną ocenę Spasowicza ostro

odpowiedzieli nieoczekiwani przezemnie szermierze: prof. Stanisław Tarnowski i prof. Szymon Askenazy.

Skorom wspomniał o krytykach „Sprawy Dołęgi", muszę wymienić jedno jeszcze zdanie parę razy powtórzone, które dostało się nawet do „Historji literatury polskiej" prof. Aleksandra Brücknera. Zarzucono mi, że Dołęga nie jest sam z sobą w logicznej zgodzie, gdy odrzuca ponętną ofiarę ręki Halszki Zbarazkiej. Ktoś nawet powiedział, że w tym wypadku okazał się „niedołęgą". Ta krytyka wydaje mi się niesłuszną.

Jan Dołęga jest w zakresie praktycznym człowiekiem czynu, a w uczuciu swem dla Halszki — rycerzem. Oba te rysy nie kłócą się z sobą bynajmniej i są konsekwentnie przeprowadzone w ciągu powieści. Gdyby Dołęga rozrzewnił się pod koniec i ożenił się z Halszką, psychologiczny wątek powieści byłby sfałszowany, lub zbanalizowany. Właśnie ten dzielny człowiek, który czynnie kocha ojczyznę i ma dla Halszki uczucie niepowszednie, ofiarne, nie może poświęcić swej pracy dla kraju, aby towarzyszyć Halszce w jej trybie życia, z którym się zrosła. Mógłby tylko oderwać księżniczkę od zabaw i od ponęt sybarytycznego przepychu, zaprząc ją do swego warsztatu, ale wtedy ona, gdyby mu nawet dochowała wiary, będzie za rok, za dwa — nieszczęśliwa. To przeświadcze-

nie zdobył, badając trafnie całe postępowanie Halszki, choćby w ciągu trwania ich znajomości. I na zasadzie tego przeświadczenia rozstrzyga „dołężnie" dramatyczną kolizję. Poświęca swój męski sukces, swój miodowy miesiąc, czy rok — dla obowiązków społecznych i — dla szczęścia Halszki, dla takiego szczęścia, jak je ona przywykła pojmować. Takie postanowienie nie byle kto powziąć potrafi, ale właśnie Dołęga, rycerz w pracy i rycerz w miłości. — Ostatnia scena między dwojgiem młodych rzuca na oboje takie światło, jakie dać chciałem: bohaterskie na Jana, wątpliwe na Halszkę. — Kto wie, jaką się stanie w przyszłości ta śliczna i serdeczna księżniczka?

Gdybym pisał dzisiaj „Sprawę Dołęgi", wzmocniłbym „sprawę", czyli wziąłbym inną, jeszcze ważniejszą dla Polski, czego podówczas uczynić nie mogłem, chcąc drukować w Warszawie pod cenzurą rosyjską. Ale nie zmieniłbym ani wyrazu w całym portrecie Halszki, a tem bardziej w ostatniej rozmowie zakochanych, która dla wielu czytelników jest najciekawsza, dla mnie zaś decydująca o psychice tak Dołęgi, jak Halszki. — Szkoda, że się paru zawołanym krytykom nie podobała. — Sypiał stary Homer, sypiają i krytycy.

III.

Parę lat następnych upłynęło mi w towarzystwie ludzi bogatych i rozbawionych, dużo poza granicami kraju, w Paryżu („na prawym brzegu") i na francuskiem wybrzeżu morza Śródziemnego, w hotelach, klubach, pałacach. — Z kompanją tą byłem zgrany, jednomyślny w wyzyskiwaniu uciech, a choć przypatrywałem się jej pilnie, nie brano mnie za detektywa, wiedziano bowiem, że nikomu nie wytoczę procesu, bo byłbym w nim zamieszany jako współwinny. Życie — pracowite, czy zabawne, rozpierzchłe, czy systematyczne, byle silnie odczute i trafnie pojęte, daje materjał do twórczości literackiej, której wartość zależy od talentu autora i od jego poglądów etycznych. Każde życie, byle barwne i wyraziste, ma swą cenę dla artysty. — Wśród gwaru, przejazdów i tłumów napisałem nową powieść: „Syn marnotrawny."

Złożyły się na tę książkę dwa snopy spostrzeżeń użęte na oddalonych od siebie polach: w Polsce i na francuskiej Rivierze.

Snop polski składał się z namysłów nad gatunkiem etyki pewnej odmiany szlachty, będącej w stadjum wspinania się do kasty arystokracji, nieokreślonej w Polsce ani przez prawo, ani przez zwyczaj, jednak istniejącej w swojem poczuciu, a nawet w przekonaniu tłumów. Starożytne, piękne pojęcie arystokracji jako „przewagi najlepszych" istnieje już tylko w marzeniach nielicznych osobników; resztki dawnej arystokracji czynnej i użytecznej w społeczeństwie, przerodziły się w niewielki, egoistyczny obóz obronny, mało mający wspólnego z „okopami Świętej Trójcy", broniący już tylko interesów kastowych. Jeżeli przyznamy temu obozowi jeszcze siły żywotne i wartości moralne, dążenie klas pokrewnych do stania się arystokracją nie byłoby ani naganne, ani śmieszne. Każda arystokracja, póki żyje w narodzie, dopełnia się liczebnie nietylko przez rozradzanie się w rodzaju swoim, lecz przez dobór uboczny. Ale żywotna arystokracja musi przedewszystkiem hodować swe cnoty społeczne, świecić niemi i stosować je do dzisiejszych warsztatów pracy.

Ordynarni parwenjusze, których nigdy nie zabraknie na świecie, przepychają się na wyższe piętra zwykle zapomocą pieniędzy, które są środkiem najradykalniejszym i najpowszechniej przyjmowanym. Brzęczą pieniędzmi, rozdają je efektownie, kupują tytuły, opłacają

względy. — Te sposoby udają się tylko pozornie. Można często zobaczyć zbogaconego wołarza na balu w książęcym domu, ale jego tam wygląd jest zwykle śmieszny, a pozycja towarzyska problematyczna. Często nawet wołarz traci fortunę na zadawaniu się z „wyższemi sferami".

Są i parwenjusze chytrzejsi, trafniej rozumiejący istotę wzniesienia się do wyższej sfery. Ci zgadli, że nabyć trzeba najprzód obyczaje, kulturę i... cnoty społeczne, które wywyższyły niegdyś, jeżeli nie wywyższają nawet obecnie, tę sferę. Ostatecznie, obyczaje dają się naśladować; kulturę, choć mozolnie, można nabyć. Najciężej z cnotami — — te więc trzeba starannie udawać. Taką misterną i wytrwałą robotą można dojść do fizjognomji łudząco arystokratycznej — i bez wielkiego nakładu pieniędzy, których zbieranie i mnożenie będzie najrozkoszniejszym celem, nie obcym też wcale aspiracjom arystokratycznym.

Przy obserwowaniu „wielkiego świata" korciły mnie najbardziej te liczne w nim typy pseudo-arystokracji. Może dlatego, że cenię wysoko ideał prawdziwej arystokracji, niezniszczalny chyba w naszej epoce zwanej „demokratyczną", którą trafniejby nazwać epoką rozpanoszonego barbarzyństwa, rewolucyjną, oby poprzedzającą okres panowania nowych „najlepszych", bez którego postęp i udoskonalenie

ludzkości się nie obejdą. — W trzech pierwszych moich tomach chłostałem owe twory zgniłe i zakaźne nie za to, że się pną do stanowiska niby wyższego, lecz że tamują i ośmieszają pochód ludzkości ku pożądanym przeobrażeniom. Zrobiłem misterną postać Podfilipskiego, śmieszną rodzinę Zawiejskich (w „Sprawie Dołęgi), wreszcie w powieści „Syn marnotrawny" opracowałem typ fałszerzy cnoty obywatelskiej w kilku egzemplarzach rodziny Dubieńskich.

Posągi cnót, jak pan Maciej i nieodrodny jego syn Romuald, skazana na cnotę „dowcipna Terenia", zabłąkany niezbyt daleko syn marnotrawny Jerzy, awanturniczy stryj Tadeusz, przybrany dla splendoru zięć, książę Kobryński — Dubieńscy w zasadach i działaniach w kraju i zagranicą — to temat główny powieści, który powstał z omłotu snopa spostrzeżeń użętego na ziemiach polskich.

Ale, jak już rzekłem, miałem podówczas zebrany i snop drugi, nicejsko-montekarlijski. Barwiło się w nim także od chwastów i kąkolów, ale było zamieszane i zboże dobre. Przebywając często na klasycznem Wybrzeżu, nurzałem się tam w uciechach, jednak z otwartemi bacznie oczami. I dostrzegałem, jak automatycznie, jak niepostrzeżenie przesącza się tam trucizna do dusz czystych, które przybyły szukać wypoczynku. Sam ten klimat łaskotliwy, panujący

w krainie wyszukanych zarysów, najtęższych barw i zapachów — i to zbiegowisko ludzi chciwie i zgodnie idących na spotkanie rozkoszy — i ten oddech morza potężny a dyskretny, niby przeciąganie się dobrze wychowanej zalotnicy — wszystko namawia do grzechu, który tam nie ma odrażającego skrzywienia oblicza, jest owszem naturalny i prawie niewinny. W takiej kuszącej atmosferze postawiłem parę Polaków: Katona i młodą kobietę, szlachetną, lecz wrażliwą, Fabjusza i Annę Oleskich. To drugi temat.

Oba tematy połączyłem w jednej strukturze powieściowej, dając prym tematowi Dubieńskich, który przez to może się wzbogacił, a podporządkując mu temat Oleskich, który poniekąd się zmarnował. Pani Anna Oleska jest moralnie i intelektualnie trochę blada, a Fabjusz zbyt rozgadany. Oba typy potrzebne mi były do powieści razem z wymienionemi wadami. Gdyby Anna była silniejsza w swych zasadach, nie uległaby Jerzemu Dubieńskiemu; gdyby Fabjusz nie był raisonneur'em, nie wypowiedziałby za mnie teoryj, które oddawna leżały mi na sercu.

Są jednak krytycy, którzy uznali „Syna marnotrawnego" za najlepszą moją powieść. — Niech i tak będzie. Nigdy nie przeszkadzałem nikomu nazywać jednej z mych powieści najlepszą.

W rozdziale XVII powieści, który dzieje się w Rzymie, Fabjusz Oleski wygłasza całą teorję estetyczną o muzyce. Może dlatego, że teorję rozcieńczyłem w rozmowach i w scenach, źle zostałem zrozumiany, gdyż zyskałem sobie reputację nieprzyjaciela muzyki. W tym pamiętniku właściwe będzie miejsce na dobitniejsze sformułowanie i rozszerzenie teorji, która od wielu lat składa mi się w głowie konsekwentnie.

Nawet najgorętszy miłośnik i czciciel muzyki przyzna, że tę sztukę dźwięczną albo trzeba wyodrębnić z szeregu sztuk, które przywykliśmy nazywać pięknemi: literatury, malarstwa, rzeźby, architektury i tańca, albo stwierdzić, że muzyka, postawiona w szeregu tamtych, ma swą właściwość odrębną, nietylko jako tworzywo, z którego powstaje, lecz jako nakład zasobów intelektu ludzkiego. Muzyka mianowicie najmniej wyzyskuje te zasoby, tak przy tworzeniu, jak i przy odczuwaniu. Do tworzenia jej potrzebny jest talent specjalny, jak do każdej sztuki pięknej — umiejętności techniczne, jak do każdej, następnie zaś potrzeba bardzo mało ze skarbów i ozdób inteligencji, które poeta, malarz, rzeźbiarz, architekt, nawet choreograf kładą do dzieł swoich. Nie wynika stąd, aby muzyk-twórca, czyli kompozytor, nie mógł mieć wysokiego i szlachetnego umysłu, ale swych zasobów obserwacji i erudycji, jak innych zalet inteligencji nie potrzebuje prawie przy tworze-

niu muzycznem, poprostu dlatego, że nie może ich przez sposoby czystego dźwięku wyrazić. Muzyka niezdolna jest wyrażać myśli, tylko uczucia ludzkie, i to bez konkretnego ich objaśnienia — właściwie: poczucia najprostsze, najpierwotniejsze, które mamy wspólne ze zwierzętami, jak gniew, obawę, tęsknotę, pociąg płciowy. Zato wyraża te poczucia dużo mocniej i pobudliwiej, niż czynią to inne sztuki piękne, i daje wrażenia bezpośredniejsze, gwałtowniejsze, na podobieństwo tych, które otrzymujemy od Przyrody w zakresie dźwięków, jak szum morza, ryk lwa, trele słowika, szmery liści, lub w dziedzinie zapachów te wszystkie orgje wonne roślin, wód, powietrza.

Nie chodzi tu o miejsce muzyki w szeregu sztuk pięknych, wyższe, czy niższe, pierwsze czy ostatnie — bo taka dyskusja jest dziecinna i jałowa — lecz o stwierdzenie, że muzyka ze wszystkich sztuk najmniej zawiera w sobie pierwiastku intelektualnego.

Przez parę tysięcy lat, które są okresem historycznym naszej cywilizacji, muzyka uległa dużo większym przeobrażeniom, niż inne sztuki piękne. Gdy literatura i sztuki plastyczne opierają się dzisiaj na tych samych mniej więcej zasadach i pomysłach, jak w Indjach, w Grecji i we Włoszech renesansowych, muzyka dopiero od jakich lat dwustu stała się sztuką operującą walorami dźwiękowemi niezależnie. W epoce

najharmonijniejszego rozkwitu i zespołu sztuk, w Grecji między 5-ym a 3-cim wiekiem przed Chrystusem, muzyka była tylko częścią akcesoryczną różnych rodzajów poezji i tańca. Można snuć tendencyjne teorje, że na początku był śpiew; że z muzyki powstała cała poezja i literatura, a przedewszystkiem tragedja (Nietzsche), jednak niepodobna zaprzeczyć, że w epokach dla rozwoju sztuki szczytowych — w Grecji Peryklesa, we Włoszech czasu Odrodzenia, — muzyka stała na stanowisku podrzędnem. Dopiero w wieku 18-ym rozwinęła się nagle i bujnie muzyka w znaczeniu teraźniejszem, ze swemi symfonjami, operami, orkiestracją i t. d.. Radosny to wybuch w dziejach sztuki i nikt mu przecie nie może złorzeczyć. Wyrazić chcę tylko pewne zastrzeżenia co do wpływu nowej muzyki na rozwój innych sztuk spółczesnych.

Ustaliłem powyżej, że muzyka jest mało intelektualna, bardzo zaś pobudzająca do silnych uczuć. Wynika stąd inna jeszcze jej właściwość: odbiorca, czyli słuchacz, lubuje się w niej leniwie, bez wysiłku umysłowego. Rozumiem, że znawca muzyki i człowiek wybitnie inteligentny inaczej ją odczuwa, niż prostak, gdyż daje mu ona pobudki do wyższych myśli. Muzyka bowiem daje wogóle tylko pobudki do myślenia, nie zaś określone myśli, jak np. literatura. Ale że daje przytem silne, kołyszące, lub podniecające wrażenia zmysłowe, wynika stąd

niebezpieczeństwo bezmyślnej melomanji, bardzo u nas rozpowszechnionej.

Przeciw melomanom, nie przeciw muzyce, skierowana jest perora Fabjusza Oleskiego w „Synu marnotrawnym".

Gniewał mnie zawsze ten gatunek ludzi bez elementarnego pojęcia o estetyce i o sztuce, którzy dlatego że chwytają łatwo uchem melodję, że potrafią coś zabrzdąkać na fortepianie, że chodzą do opery i na koncerty — dla upicia się dźwiękami — jak inni w knajpie upijają się alkoholem — noszą wysoko swe muzykalne uszy, niby oznaki osobliwej godności — co im wolno — ale głoszą też o muzyce różne zachwyty, oceny i sprawozdania językiem do ludzkiej mowy niepodobnym, — co już jest nieznośne dla ludzi znających walor i stosowność wyrazów.

Inne jeszcze niebezpieczeństwo zawiera w sobie chwalebny sam przez się rozrost muzyki. Muzyka jest najpopularniejszą ze wszystkich sztuk i najłatwiej trafia do smaku tłumom mało oświeconym. Jest to może pożyteczne dla umoralnienia(?) mas. Ale doświadczalnie daje się zauważyć fakt, że w miarę wywyższenia muzyki nad jej poziom dawniejszy i w miarę miljonowego rozmnożenia muzykalnej publiczności zaczyna się wpływ muzyki na poezję wierszowaną, wpływ czasem dobroczynny, jeżeli chodzi o rozśpiewanie rozumnej mowy,

czasem zgoła szkodliwy, gdy poeta z wiersza robi samą muzykę z uszczerbkiem zdrowego sensu. Tego rodzaju skrajnem zwyrodnieniem poezji w muzykę jest np. „Popołudnie Fauna" Stefana Mallarmé. Mallarmé był utalentowanym wierszopisem i utwór powyżej nazwany wykonał świetnie, niemal przekonywająco, że tak można tworzyć poezję. Jeżeli to sztuczka, to kapitalna; jeżeli jednak ma to być wytknięty kierunek, to niebezpieczny dla przyszłości poezji. Niebezpieczny też bardzo dla naśladowców z mniejszym talentem, a zgubny w ręku świadomych fałszerzy literatury pięknej.

Ci fałszerze dostrzegli bowiem duże korzyści, które wyciągnąć się dadzą z użycia charakteru muzyki w produkcji literackiej. Najprzód — jak w muzyce — da się przemycić do utworu literackiego absencja określonej myśli; po wtóre, zyska się posłuch u całej czeredy gapiów i snobów, wcale do odczuwania poezji nieprzyzwyczajonych ani przygotowanych (na podobieństwo melomanów, o których wyżej wspomniałem), a takim czytelnikom, gdy się ich zahipnotyzuje nowością i „postępem", można wszystko wmówić, po pierwsze: że to jest poezja, powtóre: że autor jest genjuszem. Gdy się ma tupet i wprawę w żonglowaniu wyrazami, osiąga się nawet szerszy rozgłos, a za rozgłosem i pieniądze. Można też wyrobić sobie stanowisko ulubionego przez tłumy urwisa, genjalnego

dziecka, któremu wszystko wolno, nawet zamiast swego duchowego oblicza pokazywać publiczności fizyczny odwrót — nawet plwać na najlepsze tradycje, a propagować kierunki potrzebne wybranemu plemieniu Izraela.

Szkodliwe działanie muzyki na sztuki plastyczne nie da się już tak wyraźnie złapać na gorącym uczynku szkodnictwa, jak jej działanie na poezję. Jednak na całej produkcji artystycznej naszej epoki ropieją narosty, których charakter zakaźny jest jednaki: zanik filozoficznego sensu, zaniedbanie techniki pracowitej i ludziom bez talentu niedostępnej, wyuzdanie zaś cech emocjonalnych aż do brutalności dla zyskania poklasku i zapłaty od „profanum vulgus", zwanego dzisiaj szanowną publicznością. Ale prawdziwa sztuka nie była nigdy i nie będzie dostępna dla duszy tłumu, tak samo jak przez tłum nie może być tworzona. Sztuka jest w istocie swej arystokratyczna; tylko najlepsze (pod względem artystycznego usposobienia) jednostki mogą ją doskonale tworzyć i doskonale odczuć. Arcydzieła t. zw. popularne zawierają tylko jakieś linje, jakieś szeregi szczegółów przypadające do smaku tłumom; jest to ich zaleta społeczna, nie zaś artystyczna, choć jedna drugiej nie ubliża. Zdemokratyzować sztuki niepodobna. Ustroje nowożytne państw mogą sztukę zabić, jeżeliby ją chciały naginać do swych zasad, ale nie zdołają przerobić jej istoty.

Z tego oglądana stanowiska muzyka jest sztuką najdemokratyczniejszą. Ponieważ nie potrzeba wysiłku, ani wyrobienia intelektu, aby odczuć wpływ przyjemny muzyki, jest to sztuka ulubiona tłumu, w którym przeważają oczywiście umysły pospolite. Ale muzyka, jak już powiedziałem, ma silne własności pobudliwe, daje dużo do myślenia i do czucia doraźnie. Jej działanie na tłum bezmyślny nie wyłącza wcale działania na wyższe umysły i szlachetne serca. Z tego powodu można ją nazwać sztuką nietylko przeznaczoną dla gminu, lecz zarazem dla wyjątkowych ludzi, zatem pandemiczną, powszechną.

Pod tym względem działanie muzyki jest najpodobniejsze do działania zjawisk przyrody na wrażliwość ludzką. Zjawiska przyrody działają na każdego z nas jeszcze silniej niż muzyka i bez wszelkiego rozumowania; budzą zaś w nas jeszcze bujniejsze rojenia, żądze i odkrycia umysłowe, niż te, które otrzymujemy od muzyki. Jeżeli więc muzyka w działaniu swem bezpośredniem na psychikę słuchacza zbliża się bardziej, niż inne sztuki, do działania przyrody, można ją z tego powodu podnieść do najwyższej godności między sztukami pięknemi, które wszystkie są transponowanem na różne sposoby naśladowaniem przyrody.

Ale, jak rzekłem, bezcelową zabawą jest nadawanie numerów kolejnych i rang sztukom

pięknym. Chodzi o rozumienie istoty każdej z nich i rozróżnianie właściwości specyficznych. Muzyka przez swą ewolucję w ostatnich wiekach odbiegła daleko od dawniejszej łączności z innemi sztukami i oddaliła się od idei sztuki, którą zachowały dotychczas: literatura, malarstwo, rzeźba, architektura, a nawet taniec odradzający się po długiem zwyrodnieniu; wszystkie one działają na słuchacza i widza sposobami każdej właściwemi, ale przez intelekt, wmawiając wyraźnie w umysły określone myśli, w celu wywołania tego lub owego nastroju, czyli gotowości uczucia. Muzyka naodwrót wywołuje tylko nastrój bez określonego komentarza myślowego i nie kieruje bynajmniej myślami, które z nastroju tego powstaną. Ta jest oczywista odrębność nowoczesnej muzyki od innych sztuk pięknych.

IV.

Zaburzenia rewolucyjne rosyjskie roku 1905, które odbiły się sfałszowanem przez Żydów echem na ziemiach polskich, wywarły wpływ uboczny na moje losy osobiste. Utraciłem resztę majątku. Literatura stała się odtąd jedyną moją żywicielką, miałem zatem najszczerszą chęć i istotną potrzebę wyciągnięcia z mej produkcji literackiej jak największych korzyści materjalnych. Ale na zawadzie stała mi sumienność autorska; nie pozwoliłem sobie nigdy na wypuszczenie książki bylejak skleconej dla wzięcia za nią co rychlej zapłaty. Kłopoty zaś pieniężne psują mi dotkliwie werwę pisarską. Nie doprowadzają do rozpaczy, gdyż pieniędzy nie kocham bezpośrednio, lecz nudzą mnie dokuczliwie i zabierają dużo czasu na zabiegi, do których wcale nie jestem uzdolniony. To też zdarza mi się to regularnie, że im pilniej potrzebuję pieniędzy, tem mniej piszę do druku. Tak wypadł mi okres od końca r. 1905 do połowy 1908 r.

Ale uprzednio, w samym zgiełku wydarzeń rewolucyjnych, w niespokojnym, zmiennym, jak

pogoda marcowa, roku 1905 byłem w ochoczym nastroju satyrycznym, a co dziwniejsza — skierowanym przeciw grupie, którą podówczas bliżej poznałem i nauczyłem się cenić, co mi nie przeszkadzało widzieć usterek w niektórych jej działaniach. „Dni polityczne" ostrzem satyry, zresztą pogodnej, godzą w pewne roboty narodowej demokracji.

W okresie 1904—1905, w dniach rozbudzonych nadziei Polaków, rozluźnionych więzów i obłudnych obietnic rządu rosyjskiego, wystąpiła jawnie na widowni warszawskiej organizacja zwana uprzednio „wszechpolską", następnie „narodową demokracją", a w skróceniu „endecją". Poznałem ją wtedy w osobach jej kierowników: Romana Dmowskiego i Zygmunta Balickiego; innych jej członków znałem już poprzednio. Z całą tą grupą zaprzyjaźniłem się zasadniczo, chociaż nie wstąpiłem do stronnictwa, bo pragnąłem zachować swą niezależność autorską. Trafiały mi do przekonania ich czyste zamiary względem ojczyzny, wytężona praca dla jej dobra, a przypadł do serca rdzennie polski charakter ich działalności. Chociaż jednak podziwiałem rozum Dmowskiego, choć stwierdzałem siłę i pożytek jedynej polskiej organizacji niezależnej od wpływów kastowych i żydowskich, dostrzegłem w metodach ich działania braki, a nawet śmieszności. Naprzykład zwoływanie ludzi bylejakich z dróg i opłotków

dla pomnożenia armji endeckiej, dawanie tym adeptom zadań fikcyjnych, używanie ich zaś istotne do agitacji na rzecz wyboru członków stronnictwa do Dumy rosyjskiej — dały mi temat do satyry p. t. „Dni polityczne".

Przegląd wydarzeń bieżących w oświetleniu satyrycznem, zwany pospolicie pamfletem, jest, co do rodzaju, pośredni między literaturą a publicystyką. Podąża za chronologją zdarzeń rzeczywistych, zajmuje się osobami działaczy żyjących, chociaż zdarzenia przejaskrawia, a osoby przezywa inaczej; wogóle posługuje się przesadą i ośmieszaniem rzeczywistości historycznej. Nie będę protestował, jeżeli kto moje „Dni polityczne" nazwie pamfletem, pozwolę sobie jednak zauważyć, że utwór mój w dwóch częściach, stanowiących całość, odbiega znacznie od utartych wzorów pamfletowych. Zdarzenia historyczne zaledwie są w nim oznaczone dla wyraźnego ustalenia epoki; inne perypetje, szerzej i żywiej opisane, mają charakter powieściowy, skomponowany w stylu epoki, lecz nie naśladowany żywcem z kronik. Osoby działające w „Dniach" nie są bynajmniej przenominowanymi działaczami spółczesnymi; podpatrzone rysy dosadne, podsłuchane zdania rozdzieliłem w opowiadaniu między *moje* figury, gdy mi to dopadało do charakterystyki, nie troszcząc się bynajmniej o to, od kogo je otrzy-

małem, jako wrażenia. Co zaś — mojem zdaniem — zupełnia odróżnia „Dni polityczne" od typu pamfletu — to postać główna Apolinarego Budzisza.

Umyślnie wyłowiłem tego poczciwego szlachcica z tekstu „Żywota Podfilipskiego", gdzie jest on tylko migawkową sylwetką, aby zaznaczyć, że wzór pana Apolinarego wziąłem z dawniejszego, nie zaś z najnowszego życia. Rzec nawet można, że typ Budzisza istniał oddawna w Polsce i nie odpowiadał wcale typowi naczelnego narodowego demokraty. Nie on tworzył akcję i jej wyniki, lecz naczelna dyrekcja stworzyła takiego „działacza", który w istocie był tylko narzędziem. Było wielu takich Budziszów w pierwotnym składzie narodowej demokracji, ale zupełnie odpowiedniej do niego osoby nie miałem przed oczyma, pisząc „Dni polityczne".

Te dwie serje („Narodziny działacza" i „W ogniu"), chociaż ukazały się w dwóch tomikach i w pewnym jeden od drugiego odstępie, składają właściwie jedną całość, związaną konsekwentnie przez postępy wizerunku i karjery Apolinarego Budzisza. Polityczne tło utworu straciło dzisiaj aktualność, a charakter pamfletu zwietrzał z wielu powodów, głównie że stronnictwo zorganizowało się, a warunki polityczne uległy ogromnym zmianom. Ale oca-

lała, mojem zdaniem, powieść obyczajowa, którą obecnie należy drukować w jednym tomie p. t. „Budzisz“[1]).

Ta powieść, podobnie jak „Podfilipski“ zbudowana jest dla jednej postaci. Ale odmienne zastosowałem tu sposoby pisarskie i zupełnie inny jest mój stosunek do Podfilipskiego, niż do Budzisza. Tamtym - pogardzałem zasadniczo, chwaląc go podstępnie; tego szczerego szlachcica serdecznie lubiłem, choć wystawiałem na ciężkie próby jego zdolności polityczne. Zżyłem się też z panem Apolinarym Budziszem tak poufnie, żem go chciał przeprowadzać przez dalsze „dni polityczne“, przez ich ogień i wodę i błoto. Ale zabrakło mi werwy pisarskiej pośród ciężkich zabiegów materjalnych, które mnie ogarnęły. — Użyłem Budzisza jako komparsa dopiero dla rozweselenia późniejszej powieści p. t. „Unja“.

Do tonu pamfletowego, do gwizdanej kroniki wypadków bieżących, powróciłem dopiero w kilkanaście lat po „Dniach politycznych“, gdym wydał tom „Cudno i ziemia cudeńska“ (1920) i parę krótkich nowel z cyklu „Humoreski szubieniczne“. Te rzeczy nowsze są

[1]) Pod tym tytułem „Budzisz“ wyszła książka w Kijowie w r. 1916. u L. Idzikowskiego. — Wydanie to dawno wyczerpane.

już poprostu pamfletami. I nie dorównywają „Dniom politycznym" z dwóch głównie przyczyn.

Najprzód, w „Cudnie" brak postaci stworzonej przez autora *con amore*, w rodzaju Budzisza. Taka postać, choćby jedna, musi się znajdować w książce, aby zyskać sobie u czytelników sympatję dla siebie samej, niezależnie od politycznych celów utworu. W „Cudnie" rusza się ciągle jeden człowiek, Szaropolski, umyślnie szary, nawpół cudzoziemiec i nie znający kraju, dlatego taki, aby mógł się na każdym kroku dziwić i gorszyć tem, co się w ziemi cudeńskiej dzieje. Między resztą postaci, przeważnie szkicowych, wyróżnia się plastycznie stary mantyka, stryj Joachim, ale i ten mówi głównie za autora, mało zaś zajmuje czytelnika swą indywidualnością. Cała fabuła jest niby lekką komedją z podkładem tragicznym. — Tak mi przyszedł ten pomysł, w którym, przyznaję, mniej się troszczyłem o dzieło literackie, jak o spisanie pewnych dogmatów i uwag politycznych.

Drugą przyczyną niższości artystycznej „Cudna" w porównaniu z „Dniami" było niepodobieństwo wykrzesania wesołego humoru z wypadków 1918—1919 roku. Łatwiej to było jeszcze drwić z pierwszych grzmotów rewolucji żydowsko-rosyjskiej w r. 1905, chociaż i tamte już sprawiały zamęt w umysłach niepewnych Polaków, niż z uśmiechem spoglądać na sro-

motne roboty Popsujów polskiego pochodzenia w r. 1918. Z tych wrażeń pełnych zgrozy i wstydu, z oburzenia na obłęd samobójczy ówczesnych działaczy, niepodobna było stworzyć gładkiej satyry, a tem bardziej dobrego żartu. Wypadało tylko wiernemu słudze sprawy polskiej — zawołać na alarm.

V.

Po ostatecznej likwidacji mojej posiadłości w Polsce umyśliłem osiedlić się gdzieś w centralnej Europie, na pół drogi z Warszawy do Paryża. Jeszcze to pojęcie „centralna Europa" nie było tak jak dzisiaj zohydzone. Od maja 1907 najałem mieszkanie w Steglitz pod Berlinem. Na początku mego tam pobytu ogród wyświeżony przez maj, metodyczne krzątania paru Niemek, do których należała willa, wzorowa czystość przedmieścia i pobliskiego Berlina, naoliwiony szmer kolosalnej machiny — podziałały na mnie usypiająco po zgiełku i targaniach lat poprzednich. Ale następnie zaczęło mi tam być źle i nieswojo, gdym poznał prusactwo nudne i obłudne w swych tak zwanych cnotach, a knujące wrogie przeciw Polsce i Europie spiski. Niechętnie, podświadomie zbierałem spostrzeżenia, które mi się przydały do późniejszego utworu. Tymczasem uciekałem od gnuśnego komfortu mego nowego mieszkania do środowisk ożywiających umysł i serce, do Paryża, do Holandji; najczęściej zaś po-

wracałem do Polski, gdzie pozostawiłem nietylko przyjaciół, lecz i swoje tematy literackie.

Pociągał mnie zwłaszcza przemożnie „kraj mój młodości szczęśliwy" — ziemia kowieńska, kraj pagórków i jezior, teren dzikiego myśliwstwa, przytem gniazdo ojców i dziadów, otoczone kochanem sąsiedztwem we dworach, a pięknym ludem po chatach. Chociaż większą część życia od lat dziecięcych spędziłem w Królestwie, powracałem co roku do wsi litewskiej. Jużynty, nasz majątek dziedziczny, był mi od lat najwcześniejszych kątem ziemi osobliwym, gdzie mieszkały zdrowie, spokój, przyjazna z ludźmi zażyłość, gdzie przez powietrze i przez serca wiało szczęście. I z żadnego kraju, nawet z Grecji, z Włoch, z miast najmilszych, jak Paryż i Rzym, nie wyniosłem tyle materjału twórczego, tyle porywu do tworzenia, jak z tej poetycznej okolicy litewskiej.

W roku 1908, gdy pisałem „Unję", zaczynała dopiero szerzyć się na Litwie zaraza, która, wyzyskana przez jej wrogów, stworzyła dzisiaj rachityczne, oszalałe, samobójcze państewko litewskie. Odczuwałem wtedy boleśnie dreszcze propagandy, podjętej przez paruset obłąkanych Litwinów, między którymi rej wodzili pogańscy iście księża. Nie przewidując wojny tak bliskiej, ani najazdu niemieckiego, który urządził Litwę na jej zgubę a dla niemieckiej korzyści, sądziłem, że można jeszcze wyperswa-

dować coś zapienionym Neo-Litwinom, a ostrzec litewskich Polaków przed niebezpieczeństwem tego kierunku politycznego, którego treścią główną była ślepa, niewdzięczna, zgubna na każdy wypadek nienawiść do Polski.

Pojechałem do Jużynt i do Wilna, gadałem i z sąsiadami, Polakami, którzy sprawę tę traktowali zbyt filozoficznie, i z zajadłymi przodownikami ruchu, Litwinami. Byli to po większej części prostacy, nic nie wiedzący o historji, o polityce, ani o naukach społecznych, zato uparci, jak kozły, na argumentację nieczuli, powtarzający tylko ciągle, że Litwa jest ich, a Polacy ją ujarzmili i ciemiężyli przez pięć wieków. Nie miałem nadziei przekonania ich, ani przegadania, ile że nie jestem uzdolniony do improwizacji oratorskiej, do wieców i propagandy. Chwyciłem za moją broń zwykłą — i napisałem książkę, gdzie owe dyskusje rozwinąłem w scenach i w logice faktów. Oczywiście książka, którą tylko kilkuset Neo-Litwinów mogło przeczytać po polsku, kilkunastu przeczytało, a kilku zaledwie zrozumiało, nie mogła mieć wpływu na uśmierzenie propagandy przeciwpolskiej. Powtórzono mi jedną recenzję „Unji" w jakimś miesięczniku, czy kalendarzu(?) litewskim, gdzie krytyk (podobno ksiądz?) przedstawia mnie w takiem świetle: Autor „Unji" jest rodowitym Litwinem i nazywa się Weissenas (tak przekręca nasze nazwisko lud w oko-

licy Jużynt). Tenże Weissenas udaje Niemca i Polaka zarazem. Spotykał się z nami w Wilnie, wyciągał nas na rozmowy i z tych rozmów skleił powieść szkalującą patrjotów litewskich. Jest to zatem zdrajca sprawy litewskiej i t. d. Takiemi zlepkami fałszu i błota odpowiedział ksiądz katolicki na moje serdeczne intencje i argumenty

Chociaż miałem świadomość oddawna, że moje przeżycia i wrażenia z Litwy są najcenniejszem tworzywem do powieści poetycznej, użyłem ich w „Unji" oszczędnie, gdyż główne walory odkładałem na później. W zamiarze „Unji" górowała sprawa polsko-litewska i dostosowany do tej sprawy romans dwojga ludzi, patrjotów: Kazimierza Rokszyckiego z Korony i Krystyny Sołomereckiej z Litwy. Były to zamiary uczciwe, lecz dałyby wynik literacki pospolity, gdyby nie kunsztowna rama, bogata w twarze wyraziste i oryginalne, w barwne krajobrazy i w sceny żywe, etnograficznie ciekawe.

Wiszuny, gniazdo Hieronimów Budziszów, ten obraz dworu polskiego odmiany litewskiej, w spokoju snu swego nad jeziorem, lub w gwarze dużego sąsiedzkiego zjazdu, — Rarogi Chmarów, już raczej pałac, z pretensjami i ceremonją, z zaprzyjaźnionymi książętami Zasławskimi, z odcieniem „polityki krajowej", której miejscową wyrocznią jest sam Chmara (pendant do Zbązkiego ze „Sprawy Dołęgi"), — starożytne

a tak urocze polowanie z gończymi, — galerja oryginałów ze szlachty i z włościan dawniejszego typu, — ksiądz Wyrwicz, postać większa i poważniejsza, — Jurko Lejtan, strzelec mego dziada i stryja, mój pierwszy mentor myśliwstwa i kochany towarzysz polowań, wprowadzony do opowiadania żywcem, z imieniem i nazwiskiem — wszystko to wydaje mi się jeszcze dzisiaj żywem w książce, a może mieć swą cenę z tego powodu, że utrwala rysy kwitnącego do niedawna życia, dzisiaj zniweczonego przez świeży zalew barbarzyństwa. — Budzisz zaś Apolinary, bohater „Dni politycznych", choć stworzony do całkiem innego użytku, przedłuża swe istnienie w „Unji" z humorem i pożytecznie, gdyż odbijając swemi cechami „koronnemi" od Polaków litewskich, uwydatnia przez porównanie ich osobliwości i zalety.

Po latach kilkunastu istnienia — co dla powieści nazwać można wiekiem dojrzałym — „Unja" sprawia mi wrażenie pękniętego dzbana z ozdobą dobrych malowideł. Choć dla głównego przeznaczenia już bez użytku, zachowuje wartość kunsztownych ozdób.

Zmieniam w tem miejscu znowu następstwo chronologiczne, aby przy „Unji" (r. 1908) postawić bezpośrednio „Gromadę" (r. 1913) dla podobieństwa literackiego zamiaru w tych dwóch powieściach. Obie przesycone są sprawami społecznemi, chcą je poprzeć i do nich prze-

konać społeczeństwo. Powieść litewska chce przypomnieć ważność i obowiązek starożytnych węzłów pomiędzy Polską a Litwą i ostrzec przed lekkomyślnem ich rwaniem; powieść „koronna" ma na celu ukazanie pożytku wielkiej gromady przy pracy narodowej, sprzymierzenie sił szlachty i chłopów.

Do mojej „Gromady" wprowadziłem umyślnie typy szlacheckie pospolite większych i mniejszych ziemian, z ich zaletami i wadami, ze stanu zaś włościańskiego wybrałem osobistość wyjątkową, Jana Rykonia, typ raczej oczekiwany w przyszłości, niż rozpowszechniony już w życiu. Uczyniłem ten wybór z jednej i drugiej warstwy dla łatwiejszego wytknięcia punktu stycznego między niemi przy robotach społecznych.

Dopiero pod koniec 19-go wieku chłop polski z zaboru rosyjskiego budzić się zaczął do życia publicznego. Nie mówię o ludziach, którzy z włościan ród swój wiodąc, przez pracę, kulturę umysłową i talent, stali się wielkimi pisarzami, profesorami uniwersytetu, lub i magnatami — lecz o chłopie rolniku, uprawiającym swój kawał ziemi. Dopiero pokolenie urodzone po uwłaszczeniu, nie pamiętające już stosunków poddaństwa i pańszczyzny, nabrało fizjognomji politycznej, pomimo ciemnoty, która je ogarniała, ciemnoty popieranej przez system rządowy moskiewski, a mającej też silne opar-

cie o upór i ślepy konserwatyzm chłopa. W epoce, o której mówię tutaj i w powieści, nauczaniem włościan w Królestwie zajmowało się wiele osób luźnych, a jeszcze więcej partyjników prawych i lewych. Z sumy tych zabiegów trudnych i niebezpiecznych ze względu na zakazy rządowe, wynikło trochę nauki elementarnej, dużo zaś wpływów etycznych rozmaitej wartości. Księża i panie ze sfer ziemiańskich rozkrzewiali religijność; t. zw. „postępowcy" szerzyli wiadomości praktyczne i fachowe. Ale socjaliści zaszczepiali w umysłach włościan swoją politykę, czyli doktrynę nienawiści. Nikt przecie w rozmowie z prostym chłopem nie namacał pojęć socjologicznych, ani wyobrażenia o równowadze interesów klasowych w Państwie; agitatorowie socjalistyczni uczyli ich tylko zazdrościć więcej posiadającym, domagać się różnych dla siebie korzyści bez względu na interesy innych warstw i na prawo własności; nienawidzić tych, którzy socjalistom przeszkadzali. — Na pochwałę chłopskiego rozumu zapisać należy, że propaganda socjalistyczna szerzyła się na wsi opornie. — Bez porównania większy wpływ na rozwój pojęć chłopa wywarła propaganda narodowo-demokratyczna. Jej to zawdzięcza stan włościański pierwsze początki uświadomienia narodowego, rozszerzenie patrjotyzmu od parafji do powiatu, a czasem i do ogółu ziem polskich. Z tego posiewu powstały

wybitne indywidua chłopów-obywateli, rzadkie jeszcze wówczas, lecz radośnie obiecujące, z których zebrałem wzorki do postaci literackiej Jana Rykonia w „Gromadzie".

Postawiłem Rykonia w powieści w takim stosunku do reszty chłopów, nawet do sąsiadów ze wsi, w jakim się podówczas znajdowali ci wyjątkowi, dzielni obywatele małorolni do swego otoczenia. Rykoń i jemu podobni zdołali dopiero rozruszać sumienie obywatelskie bliższych gminiaków, lecz nie obudzili na dobre ich energji, ani nie pozyskali zupełnego zaufania. Z konieczności Rykoń sprzymierza się z pracowitą szlachtą na ziemi osiadłą, gdyż jej zawdzięcza wiele dobrych nauk i od niej, jako od zamożniejszej i lepiej zorganizowanej, spodziewa się realnego poparcia. Prawie przemocą chce on narzucać swojej wsi pożyteczne ulepszenia i instytucje, gdyż zna chłopską opieszałość, niechęć do inowacji i nieufność. Chłopi z Mielna, czy z innej wsi, słuchają chętnie rozmowy i rady w swoich sprawach, nawet pochodzącej od ludzi z innych warstw społecznych, ale tylko tyle, że dają ucha. — Aby z rady wyciągnąć wniosek czynny, potrzeba im bardzo wiele czasu i bardzo łatwych warunków wykonania; często nawet chcą, aby doradca wziął na siebie cały ciężar pracy i kosztów przy wykonaniu doradzanego dzieła. Wrodzona nieufność chłopa skłania go też do dawania wiary tym, któ-

rzy właśnie doradzają mu nieufność do pewnych ludzi, np. do panów, lub do księży. Dlatego taki profesor Owocny, majster-psuj z powołania, ma nad Mielnem dużą moc destrukcyjną. Mielniacy nie pójdą ślepo za jego radą twórczą, ale ulegną łatwo jego namowom przeciwienia się wpływom Bronieckiego, Godziemby, a nawet Rykonia.

Takie roboty i stosunki starałem się ująć w ramy powieści nasyconej sprawą główną, społeczną. Przygotowałem się do pisania „Gromady" starannie, nietylko przez uporządkowanie dawniejszych wspomnień i doświadczeń, lecz i przez nowy objazd wsi łowickich, szlachecko-chłopskich kooperatyw w ziemi płockiej i t. d.

Powieść ta jest bardziej stanowcza w swych wnioskach, niż „Unja" i ma tę przygodną wyższość, że sprawa wyłuszczona w „Gromadzie" jest dzisiaj jeszcze zupełnie aktualna, gdy sprawa Unji polsko-litewskiej przedstawia się obecnie wcale inaczej, niż w r. 1908.

Muszę wymienić jeszcze jeden bodziec, który mnie pobudził do napisania „Gromady". Już byłem wydał dwie powieści o polskiej Litwie („Unja" i „Soból i panna"), obie pełne zapału do tej cennej części dawnej Rzeczypospolitej, a w żadnej z innych powieści nie potraktowałem z takim umiłowaniem dzielnicy koronnej.

Któryś z krytyków zauważył nawet, że pisząc o ziemiach koronnych jestem satyrykiem, o litewskich zaś piszę, jak poeta. Sam uznawałem trafność tej uwagi i postanowiłem dowieść, że umiem kochać i ziemie koronne. Bronię się zresztą od klasyfikacji w mem umiłowaniu różnych ziem polskich; z urodzenia jestem wszechpolakiem, pochodząc z Litwy po mieczu, a z Korony po kądzieli. Obrałem sobie zatem teren łowicki na tło do nowej powieści, a za temat: narodziny polskiego chłopa - obywatela i wielką gromadę szlachecko-włościańską przy budowaniu Polski. Tło i temat były mi znane, przyjazne i szanowne, lecz niezwiązane tak organicznie z treścią mojej duszy, jak tło i temat „Unji".

Zresztą „Gromada" wydaje mi się prowadzoną celowo dla wywołania uroku wsi „koronnej" przez pierwsze rozdziały aż do obrazu okrężnego w Sławoszewie, włącznie. Następnie dłużą się nieco rozprawy teoretyczne. W samem zaś zakończeniu jest obraz wątpliwy — ta uparta śnieżyca wypadająca w maju. Widziałem taką śnieżycę w maju, ale krótką i mniej tragiczną. Użyłem zaś tej klęski żywiołowej głównie jako symbolu; chciałem zasypać śniegiem czujne oczy cenzury rosyjskiej. Śnieżyca zjawia się razem z klęskami innej natury, pochodzącemi od wrogiego Rządu: ze skupem kolei wiedeńskiej, z nowemi zakazami współpracy

kulturalnej z ludem. Te cięższe niedole są z konieczności zaledwie wspomniane u mnie — skąd wypadło, że śnieżyca gra zbyt wielką rolę w opowiadaniu i psuje artyzm zakończenia powieści. Trzeba tu było zręczniej ominąć lub oszukać cenzurę, jak się to udało i mnie samemu w innych wypadkach.

VI.

Rok 1910 rozpocząłem jeszcze w Steglitz pod Berlinem, ale wyrywałem się stamtąd coraz częściej i na dłużej, nabrawszy rzetelnego wstrętu do pruskiego plemienia, do jego fałszywej cywilizacji, obłudnej cnoty, zwłaszcza do jego zaborczych i wrogich względem Polski zamiarów. Kiedym znów przyjeżdżał do Warszawy, obsiadały mnie rojem ponure spostrzeżenia robót żydowskich w Polsce, sięgających coraz szerzej w polityce i finansach, coraz głębiej wżerających się zarazą w dusze polskie. Postanowiłem wtedy wystąpić stanowczo przeciw Żydom.

Wstręt do Żydów miałem we krwi i od lat najmłodszych. Ale w pewnej epoce nauczyłem się ten wstręt hamować, a nawet walczyć z nim; uległem prądowi asymilacyjnemu, równie obłudnemu ze strony Żydów, jak naiwnemu ze strony Polaków. Choć z tego zaślepienia wyleczyłem się rychło, bo jeszcze przed rozpoczęciem właściwego zawodu literackiego, dla konsekwencji milczałem długo o Żydach w pierwszych swych książkach. Dopiero w serji II „Dni

politycznych" wypuściłem na Żydów kilka ostrych pocisków. Następnie, będąc świadkiem rosnących z dniem każdym wpływów i czarnych robót żydowskich, postanowiłem wziąć je za przedmiot główny powieści.

Powieść „Hetmani" urodziła się, jak „Żywot Podfilipskiego", z oburzenia. Ale tym razem oburzenie zbudziła we mnie sprawa stokroć donioślejsza, więc zbierało się na książkę inną, nie na satyryczne dowcipkowanie, raczej na ponury dramat. W rozmyślaniach nad wrogami Polski doszedłem łatwo do wniosku, że najgroźniejszymi są Prusacy i Żydzi. To było już wówczas oczywiste. Trudniej było dostrzec, że ci wrogowie są pomiędzy sobą zmówieni dla wspólnego działania przeciw Polsce. Chytrą i bezecną zmowę „polskich" Żydów z polakożerczymi Prusakami uchwyciłem jednak przeczuciowo, przyłapałem na drobnych, lecz charakterystycznych uczynkach, wędrując wtedy ciągle z Berlina do Warszawy i napowrót.

Przyszedł mi pomysł uosobienia sił wrogich działających przeciw Polsce w jednej postaci mniej więcej demonicznej, choć mającej pozory dostojne i dobroczynne — a postać tę czarną umyśliłem przeciwstawić jakiemuś wcieleniu czystego i wiecznego ducha Polski. Tak powstały postacie ekscelencji Lorenza Latzkiego, Wojciecha Piasta i tytuł „Hetmani". — Ale, jak się to zwykle zdarza, na „czarny charakter"

Latzkiego miałem wzorów pod dostatkiem, na jasną postać Piasta — zaledwie ułamkowe rysy ludzi spółczesnych. Wogóle cały pomysł „Hetmanów", pośredni między powieścią historyczną spółczesną a ponurym dramatem, najeżony był trudnościami.

Latzki — to Żyd przechrzczony, pochodzący z Polski, ale osiadły już oddawna w Berlinie, gdzie doszedł do dygnitarstwa i do pozycji towarzyskiej; występuje zatem stale w charakterze lojalnego Prusaka, pozuje okazale na umysł „wyższy", co po żydowsku znaczy: międzynarodowy. Powieść odsłania stopniowo jego psychikę i działalność utajoną; razem ze swą nieodrodną córką Helą jest Latzki sprężyną akcji niemieckiej w Polsce i w Rosji, mającej na celu popieranie rewolucji i wyzyskanie jej na korzyść Niemców i Żydów. Gdy zaś rosyjski rewolucjonista (Tomiłow) zabił mu córkę, Latzki, dotknięty do żywego, wściekły, wyskakuje z obłudnej powłoki, odsłania się jako Żyd — już tylko Żyd — zieje nienawiścią do Polski, w sojuszu z rządem rosyjskim przeprowadza śledztwo „pogromu", za który ma być Polska pociągnięta do odpowiedzialności, a przedewszystkiem Piast, najgroźniejszy przeciwnik, kontrrewolucjonista przeciw rewolucji żydowskiej, Piast nieuchwytny, a przecie stający zawsze i wszędzie na przeszkodzie planom Latzkiego.

Ta postać Żyda-Prusaka, nader skomplikowana w rysunku psychicznym, wydała się niektórym czytelnikom „Hetmanów" w r. 1910 do 1911 nieprawdopodobną. Gdzież jest taki Żyd działający z ramienia rządu niemieckiego na korzyść rewolucji w Rosji i tak wrogo dla Polski usposobiony? — pytano mnie. Wtedy go jeszcze nie było na widowni, ale istniał w ukryciu, gdzie go podpatrzyłem i odsłoniłem. Dzisiaj, po wojnie i po kilkuleciu burzliwego pokoju, gdy sprzysiężenie niemiecko-żydowskie przeciw Polsce jest już chyba dostatecznie ujawnione, postać Latzkiego nietylko możliwa jest, lecz pospolita. Możnaby ją znacznie jeszcze rozwinąć, dodając mu rysy Żydów imperatorów i zarazem anarchistów, Żydów patrjotów niby rosyjskich, francuskich, niemieckich, a zawsze zdrajców i zawsze Żydów. Tylko patrjotów polskich przestali już Żydzi udawać, gdyż Izrael całego świata ruszył zgodnie zaborczym pochodem przeciw Polsce, a w pierwszych szeregach tej antykrucjaty postępują nasi zdrajcy wewnętrzni.

Postać Wojciecha Piasta nie jest tylko antytezą postaci Latzkiego, gdyż należy do tworów innego pochodzenia i odmiennej struktury literackiej. Latzki był już wtedy prawdopodobny w życiu, dzisiaj jest już realistyczny i typowy. Na postać Piasta, jak rzekłem, nie znałem żywych, choćby oddalonych wzorów; musiałem go

składać z idei i symbolów, z rysów płynnych, a nawet przekraczających fizyczną możliwość. Duch narodu, który chciałem tu uosobić, miał się składać z wiekowej tradycji, być zatem stary, a przytem z tęgiej siły żywotnej, czyli z istoty młodości. Miał mieć „dawnych Polaków dumę i szlachetność", a żyć w nędzy i ukrywać się przed pościgiem wrogów — jak idea polska w czasie niewoli narodu. Duch ten, istniejący tylko w instynktach i w sumieniach gorących Polaków, przedstawiał mi się w wyobraźni, jako dostojny starzec, wiecznie młody, bo nieśmiertelny. Końcowe okresy powieści głoszą nawet, że Piast, choć był rozstrzelany na stokach cytadeli warszawskiej, żyje znowu i działa. — Widziano go tu i ówdzie i poznano po robocie.

Symbol jest przejrzysty i w toku myślowym potrzebny. Ale licencja w powieści zresztą realistycznej, a nawet historycznej — jest duża. Na tę licencję pozwoliłem sobie świadomie. Wprowadzenie postaci nadprzyrodzonej, a przynajmniej nadnaturalnie wielkiej do opowiadania o szeregu zdarzeń prawdopodobnych nęciło mnie oddawna. Już w szkicach powieściowych niewydanych, użytych częściowo do „Sprawy Dołęgi", wyprowadzałem jakąś postać Polonjusza, nieudatnie nazwaną, pokrewną jednak z Wojciechem Piastem. W powieści „Hetmani", mającej zuchwałe zarysy poematu o dziejach

dusz w Polsce i Ducha polskiego w okresie 1905—1907 roku, taka postać nadprzyrodzona jest bardziej na miejscu. Ale czy wypełniła ona swe zadanie literackie? — nie mogę rozstrzygać tej wątpliwości. Znam gorących zwolenników tego pomysłu, znam i przeciwników

Sądzę, że niezłym, choć bardzo subjektywnym sprawdzianem wartości moich książek jest odczytywanie ich przeze mnie po wielu latach. Oczywiście mogę mieć wady pisarskie wrodzone i nieuświadomione, ale mam i sporą dozę zdrowej samokrytyki, tem jaśniej działającej, im bardziej dzieło oddala się ode mnie w czasie i zmienia się atmosfera ogólna, a oziębia się naturalnie temperatura mego zapału do przedmiotu niegdyś traktowanego. Otóż „Hetmani" zajmują mnie dotychczas po dawnemu i nie umiałbym znaleźć dla nich lepszej formy. — Jedyna rzecz, która mnie razi dzisiaj — to liczba mnoga w tytule. Wojciech Piast jest hetmanem, ideowym wodzem polskim — to w porządku. Liczba mnoga stosować się może do szeregu duchów przewodnich w przeszłości: Mickiewicza, Kościuszki, twórców Konstytucji 3 maja 1791 r., o których parokrotnie mowa w tekście. Ale tytuł „hetmani", zrozumiany jako wspólny dla Wojciecha Piasta i Lorenza Latzkiego, ubliża Piastowi przez porównanie.

Pod kilku względami debiutowałem w tej powieści w nowym dla siebie rodzaju. Pierwszy

to raz naprzykład wybrałem na bohaterkę romansu — i to regularnego romansu z jaskrawemi przypadłościami — duszę kobiecą ohydną — i pierwszy, a jedyny raz — Żydówkę. Stawiałem dawniej na drugich i trzecich planach kobiety marne: panią Wegdamit-Odęcką w „Podfilipskim", hrabinę Hohensteg w „Sprawie Dołęgi", i przewrotniejszą od nich, a bardziej dorysowaną panią de Sertonville w „Synu marnotrawnym", — zresztą nieco sylwetek kobiecych humorystycznych. Ale traktowałem zawsze kobietę polską z uszanowaniem dla jej cnót i zalet, z zapałem dla jej piękności, — jak sumiennemu odtwórcy naszej epoki przystoi. Nawet sylwety kobiece ujemne przezywałem po cudzoziemsku. Tym razem wyprowadziłem na pierwszy plan kobietę piękną, — bo jej powab fizyczny musiał mi służyć za tłumaczenie jej roli w polityce i w opanowaniu umysłu Tadeusza Sworskiego — a cudzoziemkę par excellencę, bo Żydówkę.

Chociaż postać Heli Latzkiej zaliczam do swych najudatniejszych, nie miałem na nią wyraźnego wzoru, a nawet z tym gatunkiem intrygantek i obłudnic nie miałem nigdy bliższych stosunków. Pannę Latzką, późniejszą baronową Paugwitz, złożyłem z wrażeń otrzymanych od wielu osób, których nie umiałbym nawet nazwać; migały mi jednak w pamięci głównie reminiscencje pozakrajowe, rozmowy z Żydów-

kami francuskiemi, z Niemkami w Berlinie. A jednak Hela wydaje mi się zbudowaną konsekwentnie i mam wrażenie, że znam ją osobiście. Jest to także sprawdzian, i także nader subjektywny, pewnego wykończenia literackiej postaci. Niektóre moje widzę czasem przy sobie, a nawet zjawiają mi się we śnie w szeregach osób realnych.

Użyłem w „Hetmanach" formy pamiętnikowej. Ułatwiłem sobie zadanie przez to, żem uczynił Tadeusza Sworskiego literatem i pożyczyłem mu wielu swoich spostrzeżeń, a nawet rysów charakteru. Tylko warunki bytu i biografja Sworskiego nie są wcale do moich zbliżone. Nie należałem nigdy do żadnego stronnictwa, a tem bardziej nie do socjalistycznego; nie pracowałem nigdy jako płatny urzędnik; nie miałem tak tragicznej, ani wogóle podobnej awantury miłosnej. Jednak Sworski nauczony przez doświadczenie, po napisaniu pamiętnika — jest mi dosyć bliski, szczególnie w zapatrywaniach politycznych. Niektóre jego orzeczenia podpisałbym jako pochodzące ode mnie.

W każdym utworze literackim jest mnóstwo psychiki osobistej autora, nietylko tam, gdzie przemawia od siebie, ale i w budowie charakterów osób w powieści działających, a nawet w tych zmyślonych duszach więcej, niż w narracji. Autor często mówi od siebie bardzo podstępnie — jak ja np. w „Podfilipskim", gdy udaję

Ligęzę — czasem przybiera pozy dla wydania się czytelnikowi takim, lub owakim. Tymczasem domieszka psychiki autora do sztucznej psychiki jego figur jest nieunikniona, a często bezwiedna. Niejednokrotnie musi autor wątpliwości i zagadki psychologiczne swych „bohaterów" rozwiązywać przez analogję do swojej własnej psychiki. Co jabym w tych warunkach uczynił? jest pytaniem często powracającem. Oczywiście nosi autor w pamięci mnóstwo spostrzeżeń, zebranych z osób żyjących, dobiera stosowne, lecz zawsze pomocnicą jest jego psychika osobista. I rzec można, że jest to najpewniejszy wzór do naśladowania. Wszystkie wzory z natury są przez ten wzór podmiotowy kontrolowane i modyfikowane.

Oprócz wyżej wymienionych osób jeden tylko Tomiłow odsadza się wybitnie od tła powieści „Hetmani", gdzie snują się już tylko figury trzecioplanowe. Ten mołojec głodny szerokiego, pijanego życia, rewolucjonista, nie dla dobra ojczyzny, lecz przez dzikie umiłowanie bezrządu i nierządu, zdolny do kombinacji i machinacji, chytrzejszy czasem od Żyda, bez ludzkiego sumienia, lecz pełen energji — był w owych czasach prawdopodobny. Na dzisiaj nie jest już typowy; nie zdałby się na członka „czrezwyczajki", bo nie szedł pod komendę Żydów. Wtedy uciekł z Berlina, gdzie popełnił zabójstwo, wyniósł się i z Polski. O dalszych

jego losach nie doniosłem, bo nie były mi do powieści potrzebne. Jako typ samodzielny, a czysto rosyjski, zabity został zapewne przez jaką żydowską kulę w kraju panowania Trockiego nad biernem stadem ludzkiem.

Po wydrukowaniu „Hetmanów" czekałem na głosy krytyki, na odzew społeczeństwa ciekawiej, niż po wypuszczeniu poprzednich tomów. Wkrótce zadziwiła mnie względna cisza, która nad mem dziełem zaległa. Ukazała się wprawdzie doskonała recenzja Władysława Jabłonowskiego, kilka innych takich, lub owakich, omijających ostrożnie przedmiot główny — sprawę żydowską. — Z tego, co pisali wtedy o mnie Żydzi wpadła mi w ręce jedna krytyka Wilhelma Feldmana. Gromił mnie oczywiście; ale wyrwał mu się jeden okrzyk, który przeczytałem z rozkoszą: „To nie książka, to nieszczęście."

Naogół pisano o „Hetmanach" dużo mniej, niż o poprzednich książkach; nakład rozchodził się powoli; wydawcy zapomnieli jakoś o ogłoszeniach i o reklamie. Następnie, gdy książki szukała publiczność, zawsze reszta nakładu gdzieś się zapodziewała. Później, gdy przyszli Niemcy, zakazali sprzedaży „Hetmanów"; gdy zaś odeszli od nas, znów nakład tkwił tak, że nie można było go dostać...

Dziwiło mnie to zrazu, a potem zaczęło korcić. Cóż u licha? Czy książka „Hetmani" naj-

mniej warta ze wszystkich moich książek, skoro żadna nie sprzedawała się tak powoli, nie przechodziła tak cicho? — — Ale dosyć się znam na względnej przynajmniej wartości dzieł moich, aby wiedzieć, że „Hetmani" należą do najlepszych pod względem techniki i pod względem treści. Szukałem więc przyczyny tego cichego bojkotu. Dziś ją sobie tłumaczę niezawodnie.

Dla charakterystyki pewnego odłamu naszej krytyki, cofnę się wstecz od „Hetmanów" do „Dni politycznych", które wyszły w dwóch serjach, w kilkumiesięcznym jedna od drugiej odstępie. Po serji I (Narodziny działacza), która wygwizduje niektóre metody narodowej demokracji, ukazała się w „Kurjerze Porannym" recenzja poprostu mną zachwycona. Gdy wyszła serja II (W ogniu) i znalazły się w niej ostre wycieczki przeciw Żydom, tenże „Kurjer Poranny" okazał się bardzo ze mnie niezadowolonym. W pierwszej recenzji byłem wielkim pisarzem, w drugiej wcale pospolitym i nie rozumiejącym epoki, — bo w pierwszej serji śmiałem się trochę ze znienawidzonych „endeków", w drugiej — zaczepiłem ukochanych przez „Kurjera" Żydów. Jest to wymowna próbka krytyki zwanej „literacką". Nie można z tego przykładu snuć wniosków o całości naszej krytyki, bo „Kurjer Poranny" jest to pismo osobliwe pod wielu względami. Ale i poważna krytyka u nas, pomimo swych zasług, o których

nie miejsce tu się rozwodzić, ma i błędy, których też nie wyczerpię. Podkreślę tylko jedną ułomność nie literacką, lecz społeczną, którą krytycy mają wspólną z całem społeczeństwem: brak odwagi cywilnej przy napotkaniu pewnych spraw, zwanych „drażliwemi".

Do tych spraw drażliwych, nietykalnych należała do niedawna sprawa żydowska. Chociaż nasuwała się w dziedzinie ekonomji, polityki, literatury — wszędzie, chociaż wpływy żydowskie wżerały się w życie polskie, trując je zabójczo, nasi publicyści wymigiwali się od obowiązku walki z Żydami, a krytycy literaccy unikali tej materji jak ognia. Wprawdzie, że i powieściopisarze zdawali sę należeć do cichej zmowy milczenia o Żydach. Niektórzy, najgłośniejsi w przeszłem pokoleniu, nie wprowadzili nigdy Żyda do swych utworów, nie odezwali się ani razu o niebezpieczeństwie żydowskiem. Był to ów opłakany okres asymilacyjny, o którym wspomniałem. Nie pamiętam, jak krytyka przyjęła niegdyś powieści filosemickie Orzeszkowej i antysemickie Szaniawskiego (Klemensa Junoszy); ale od początku wieku jakby wymiotło Żyda z beletrystyki polskiej, a zatem i krytykom literackim zabrakło niby sposobności do omawiania drażliwego przedmiotu. Gdy jednak pisarze obudzili się wreszcie i zaczęli pisać o Żydach, dlaczegoż krytyka wykręca się w dalszym ciągu od rozważania tych dzieł, a specjal-

nie zamiarów autorskich skierowanych przeciw Żydom? Bo zdarza się i to, że krytyk zdaje sprawę z powieści, rozważa ją pod różnemi względami, pomija tylko wyraźny jej zamiar antysemicki!

Co to ma znaczyć? — Mało jest przecież Polaków przekupionych przez Żydów, a nawet coraz mniej spotyka się przekonanych filosemitów. Dlaczegoż więc całe grono poważnych krytyków przyjęło taktykę milczenia, pożyteczną dla interesów żydowskich? Dlaczego firmy księgarskie prawie że bojkotują dzieła nieprzyjemne Żydom? Tłumaczy się to chyba przez ogólną zależność handlu od Żydów, którzy umieją się mścić za akcję przeciw nim skierowaną. Ależ dla akcji tak nieodzownej, jaką jest przeciwdziałanie wszędzie widocznym robotom wewnętrznego wroga, należałoby się wyrzec wielu dogodności, nawet kredytu żydowskiego!

Krytyk może unikać w swych pracach literackich dyskusji o sprawach społecznych; może nawet być zdania, że sprawa społeczna nie nadaje się na treść główną utworu artystycznego — którego to zdania ja osobiście nie podzielam. Ale krytykowi — patrjocie nie przystoi chyba pomijanie dzieł sztuki uwydatniających fakty Żydom nieprzyjemne dla „świętego spokoju", lub dlatego, żeby Żydów nie drażnić. Silny krytyk, wiedząc, że jego recenzja jest dla dzieła

reklamą i przyczynkiem do rozpowszechnienia, gdy tej recenzji odmawia książce, dlatego że ona wojuje z Żydami, staje przez to samo po stronie Żydów. Gdyż w wojnie wypowiedzianej, regularnej, która trwa i wzmaga się coraz między Polakami a Żydami, żaden Polak nie powinien pozostawać neutralnym, a tem bardziej pisarz rasowy, mający w ręce broń w tej walce pierwszorzędną — pióro.

Niezrozumiałe operacje wydawców i opieszałość krytyków zahamowały znacznie działanie mojej powieści „Hetmani". Pomimo to pozostała ona w pamięci gorętszych Polaków, a w czasie wojny ogłaszano drukiem spostrzeżenia, że książka moja przepowiedziała trafnie sporo faktów i przemian historycznych na kilka lat przed ich ujawnieniem się na powszechnej widowni.

VII.

Bezpośrednio po „Hetmanach" napisałem „Sobola i pannę" (1911 r.). — Nikt się po mnie nie spodziewał takiej książki, zupełnie oderwanej od zgiełku miast, od swędu polityki, od nerwowego niepokoju chwili. Ja zaś, choć tę książkę złożoną z najcenniejszego zapasu wspomnień pierwszej młodości zdawna planowałem, zadziwiłem się, że przyszła do mnie nagle, w formie ostatecznej i według mojej możności doskonałej — i że pisałem ją tak łatwo, z tak radosnem uczuciem. Ani mi się wtedy nic bardzo szczęśliwego nie zdarzyło, anim się przeniósł w jakieś piękniejsze kraje, ani mną wstrząsnął magnetyczny wpływ jakiegoś bliźniego ducha. W Warszawie, w ciasnem, zredukowanem mieszkaniu, przy zwykłym roboczym stole, wśród przykrych zabiegów o chleb powszedni i najbanalniejszych zajęć — zacząłem pisać, wiedząc zgóry, że będzie to... czy najlepsza?... czy największa?... ale z pewnością najmilsza moja książka.

Do najprzedniejszych rozkoszy, jakich doznałem, zaliczam uczucie szczęśliwego tworze-

nia literackiego, gdy temat ukochany sam zdaje się wyrywać do swej formy najlepszej, gdy rój wyrazów i pomysłów stylowych zjawia się na komendę i tylko sięgać po najtrafniejsze, najdźwięczniejsze, aby z nich prząść tę nitkę głosek niezawodnie zmierzającą do wymarzonego celu. Ma się wtedy choćby chwilami wrażenie dotykania doskonałości, a to jest stan duszy wysoki i rozkoszny, rodzaj duchowej ekstazy, która aż za gardło chwyta i łzy z oczu wyciska. Zdarzało mi się nieraz podczas pisania płakać gorącemi łzami nad jakimś kawałkiem własnego tekstu — i to nie w miejscach, gdzie treść była rozrzewniająca w pospolitem tego słowa znaczeniu, lecz gdy czułem się najmocniej przejęty formą, która skądciś mi przyszła. Nie było to uczucie pokrewne z dumą, ani pychą, raczej z wdzięcznością dla Boga, który mi takie chwile zsyłał.

Tych wynurzeń nie przekreślę, choć przewiduję, że rozśmieszą jakiegoś „skończonego" gentlemana, a może i filozofa. Zato jaki artysta wyciągnie do mnie dłoń w cichem porozumieniu.

Pisałem tedy „Sobola i pannę" z głębokiem przekonaniem i radośnie, aż do łez. Przeżywałem w skrócie kilkumiesięcznym drugą młodość z jej szczytnemi naiwnościami.

Bo utwór ten zawarł w sobie mnóstwo reminiscencyj młodzieńczych, zapalczywych, zaślepionych, ale szczerze ukochanych. Tylko

cały ten zasób został gruntownie przerobiony dla celów sztuki — i darmo tam szukać moich przeżyć opowiedzianych pamiętnikowo. Dwie tylko rzeczy starałem się zachować bez zmian: świeżość młodych wrażeń i topografję Jużynt z okolicą. Trochę też podobny do mnie dwudziestoletniego jest Michał Rajecki; i nazwisko dobrałem mu przezroczyste, mojej prababki Rajeckiej, która Jużynty wniosła nam w posagu. Ale i to podobieństwo jest dość powierzchowne. Postacie Warszulki, Janielki, Pucewicza i różne inne, ze szlachty i włościan, są zupełnie poprzerabiane. Gdym kogo chciał tam wspomnieć realnego, nazwałem go rzeczywistem imieniem i nazwiskiem, ale te osoby nie grają roli w opowiadaniu, należą tylko do opisu ziemi, której pozostawiłem nomenklatury autentyczne.

Cały ton „Sobola i panny", choć opiera się mocno na rzeczywistości, jest ponad nią wyniesiony. Nie przeczę, że kraj w moim utworze jest nieco piękniejszy, niż rzeczywisty, ludzie mocniejsi w charakterystyce, a słowa i obrazy dobrane kunsztownie. Bo „Soból i panna", co do planu i stylu, co do gatunku literackiego jest poematem. Chciałem nawet książkę tak nazwać w podtytule, ale zdecydowałem się na skromniejszą nazwę: cykl myśliwski. Ten utwór, co do rodzaju, wyróżnia się z całego szeregu dzieł moich, które podpadają pod kategorję „powieści".

Ktoś w przyszłości znajdzie stosowniejszą nazwę na odłam literatury pięknej (czy twórczej), który szablonowo nazywamy powieściami — albo nazwę ogólną szczęśliwszą, albo szereg nazw stosownych do każdej z bardzo różnorodnych kategoryj, które ogarnia utarta denominacja. Co bowiem wspólnego mają między sobą: „Quo vadis", „Duma o hetmanie", „Chłopi" i naprzykład „Soból i panna"? To chyba, że wszystkie pisane są pięknie po polsku. A skoro w „Pamiętniku" mówię dzisiaj głównie o sobie — jakże różne gatunkowo bywają utwory jednego autora: „Podfilipski" — „Hetmani" — „Soból i panna". Każdy z nich jest wynikiem innego stanu duszy, innego porządku myślenia, innej techniki. Nazywać to wszystko „powieściami" — można — niema w tem nic oburzającego — tylko nazwa jest dziwnie blada, wąska i niefilozoficzna. Trzebaby tu jednego wielce pojemnego wyrazu na całość i szeregu trafnych wyrazów na różne gatunki.

Ponieważ żadnej nowej denominacji nie mam do okazania, upieram się przy nazywaniu „Sobola i panny" poematem, nie dla wywyższenia tej książki ponad inną prozę, lecz dla ściślejszego określenia gatunku literackiego. Ten utwór mógłby być, bez zmiany planu, napisany wierszem, a niektóre jego części tak się wyrywają do mowy rozśpiewanej, że prawie bezwiednie przyszły mi pod pióro zdania rytmiczne.

Nie wskażę ich tutaj; może który czytelnik już odnalazł te rytmy, które według starych reguł pisarskich były niedozwolone w prozie, ale użyte wyjątkowo i rzadko, sprawiają przyśpiew potęgujący nastrój.

Żałuję z jednego względu, żem dodał pod tytułem wyrazy: „cykl myśliwski", gdyż dały pochop mniej przenikliwym czytelnikom do nazywania książki „myśliwską", jakby to było jej treścią główną, nie zaś pomocniczą. Myśliwstwo, które bardzo lubię i uprawiałem najgorliwiej właśnie na terenie „Sobola i panny", w ziemi kowieńskiej, posłużyło mi za pretekst ścisłego zespolenia z przyrodą dziką, która człowiekowi daje obok rozkoszy fizycznej nieznane skądinąd nauki i najzdrowsze wzruszenia. Starałem się nie mylić w technice myśliwskiej, którą znam dobrze z wieloletniej praktyki; opisałem zaś kilka rodzajów polowań dla oprowadzenia czytelnika po rozmaitych terenach, na każdym zaś nietylko polowanie jest inne, ale i mowa przyrody odmienna. Jako podręcznik techniczny dla myśliwego „Soból i panna" jest bardzo niedostateczny. Nauki polowania szukać należy gdzieindziej, w książkach temu celowi poświęconych, najlepiej zaś w świeżej i pełnej wdzięku książce Włodzimierza Korsaka p. t. „Rok myśliwego".

Ale czytelnik, chodząc nawet bez strzelby, trop w trop za Rajeckim i Pucewiczem, może

do czego innego zapalić się. Poznać może ukryte w głuszy polnej i leśnej dziwy i czary Przyrody, nauczyć się mowy jej przejmującej, a nigdy niekłamnej, pokochać ziemię swoją w bezpośrednim z nią uścisku. I pokochać może ludzi pierwotnych a dobrych, jak Pucewicz, rajskich, jak Warszulka. Ten jest oczywiście cel, czy sens, czy urok „Sobola i panny".

Wolno mi tak mówić, gdyż powiedzieli to dużo szerzej i wymowniej liczni krytycy polscy, a ozwały się wdzięcznem echem tłumy czytelników miejskich i wiejskich, młodych i starych, nawet — o co u nas najtrudniej — prawicowych i lewicowych. Jeden z pierwszych Adam Grzymała - Siedlecki wydrukował o „Sobolu i pannie" pyszne studjum recenzyjne w trzech częściach, komentarz równie przenikliwy, jak pochwalny, do którego odsyłam czytelnika wątpiącego o moich zamiarach i ich wykonaniu. A Grzymała-Siedlecki nie jest wcale myśliwym...

Nazywam „Sobola i pannę" książką szczęśliwą. Dała mi dużo pięknego zadowolenia przy pisaniu, stała się odrazu popularną i nie wywołała w odgłosach żadnego zgrzytu, któryby mnie doszedł. Bo że tam kto chce ją traktować jako książkę specjalnie myśliwską — cóż mnie to może obchodzić? Są ludzie, nawet skądinąd inteligentni, którzy nie lubią, ani nie potrzebują artyzmu; są i tacy, którzy z każdej lektury wybierają tylko część dla nich pożą-

daną. Ale ogół przyjął „Sobola i pannę" nietylko z uznaniem, lecz serdecznie, a to jest nagroda rzadsza i dużo milsza, niż „należne uznanie".

Pozwolę sobie wspomnieć jeden sukces „Sobola i panny", który mnie ujął za serce. — Wybrała się na Litwę wycieczka członków Towarzystwa rolniczego z Korony, w lecie 1912 r. Gdy zawitali ci panowie zkolei do Gaczan, bezpośrednio sąsiadujących z Jużyntami, pośród narad i oględzin agronomicznych błąkały się ciągle aluzje do mojej nowej powieści, ile że byliśmy na jej terenie i ja byłem obecny. Aż gdy całe towarzystwo męskie wyszło na przechadzkę nad jezioro, dla ochłody od upału, ktoś zapytał mnie z ożywieniem:

— Więc to jest Gaczańskie jezioro? — Gdzie tu kąpała się Warszulka?

Wskazałem mniej więcej miejsce. Wtedy cała gromada gości z Korony nagłym porywem zrzuciła z siebie ubrania i wbiegła do jeziora, aby zasmakować na własnej skórze wody, w której kąpała się Warszulka.

Z wielu samorzutnych owacyj, których doznałem z powodu „Sobola i panny", ta podobała mi się osobliwie.

Miałem też wrażenie w latach przedwojennych, że moja druga książka o Litwie silniej pobudziła sympatje Koroniarzy do Litwinów, niż

„Unja", która o potrzebie miłości i łączności obu narodów wyraźnie przekonywała. Tymczasem sielankowa, nikomu nic nie narzucająca, apolityczna książka „Soból i panna" miała lepszy skutek nawet w polityce. Mówił mi często ktoś z Galicji, ktoś z Poznańskiego, że Litwę zna i kocha głównie przez „Sobola i pannę".

Dzisiaj te uboczne skutki książki zniweczone zostały przez wielką wojnę. Litwa Kowieńska uzyskała swą samobójczą, bo wrogą Polsce, niepodległość. Jużynty, ograbione przez Niemców, rozszarpane przez Tarybę, wyglądać muszą jak grobowiec promiennych przeżyć mojej młodości. A „Soból i panna" stracił swe oparcie o życie spółczesne. Pozostaje wszelako jego wartość artystyczna.

Zdaje mi się, że gdybym wydał „Sobola i pannę" bezimiennie i ukrył starannie swe autorstwo, czytelnicy mych dzieł dawniejszych nie poznaliby mnie w tym nowym utworze. Rzeczywiście stanowisko autora, temperament pisarski, a nawet styl — są bardzo odmienne. Ja sam, gdybym chciał wyprowadzić konsekwentnie nowy mój stan twórczy z dawnych, znalazłbym analogje chyba w bardzo młodych próbach literackich, pisanych z zachwytem, lecz jeszcze niedołężnych w formie. Od utworów powieściowych uprzednio drukowanych „Soból i panna" różni się głównie tem, że niema tu ani

trochę żółci satyrycznej, która w większej lub mniejszej dozie zaprawia wszystkie tamte utwory. W „Sobolu" przebłyski śmiechu są wszystkie miłujące, co najwyżej lekko humorystyczne. Jest także ogólne podniesienie tonu w wyrazach i obrazach, zwłaszcza w opisach przyrody, które tu stanowią integralną część dzieła. Rodzaj hymnu na cześć krainy, na cześć młodego życia i kochania. Tego tonu poematowego nie używałem dawniej w takiem napięciu i w takich rozmiarach.

Fabuła „Sobola i panny" związana jest powierzchownie nicią przeżyć i polowań Misia Rajeckiego, transponowanych z moich młodych wspomnień. Ale inna tam postać panuje w poematowej części dzieła, stworzona bardziej z pragnień i rojeń, niż z realnych reminiscencyj, to postać Warszulki.

Choć to dla literatury prawie obojętne, oznajmiam, że moja Warszulka jest fizycznie podobna do dziewczyny litewskiej innego imienia i nazwiska, bardzo pięknej temu lat czterdzieści, z którą widywałem się w Jużyntach na wakacjach letnich, ale dogadać się z nią o subtelniejszych uczuciach było mi niepodobieństwem, bo zbyt słabo znałem język litewski, jedyny, którym ona mówiła. Tylko zewnętrzna powłoka Warszulki i scena pierwszego spotkania w gaju leszczynowym należą do moich wspomnień realnych; cała jej psychika, dalsze

sceny spotkań, historja jej zamężcia — są urojone.

Na psychiczną postać Warszulki złożyły się moje doświadczenia, ówczesne i późniejsze, wdzięku i wartości kobiety z gminu wiejskiego, gdy jest „szczęśliwie urodzona", — jak mówią na Litwie — gdy się uda, jak mówią powszechnie. Wyjątkowo udatne dziewczyny ze wsi są niby przeżytkami typu Ewy, który istnieje w naszem instynktowem odczuciu, choć brak nam o nim wszelkiej dokumentacji. Ich piękność pierwotna i dzika, jeżeli w nich jest, nie ulega żadnej wątpliwości; żadna sztuka nie przeinacza jej rajskiego wzoru; żadnego kształtu, ani ruchu nie nagięła cywilizacja do swych skomplikowanych celów. Tylko wiatr polny maluje im lica na kraśno lub śniado, tylko zapachy łąkowe więzną w ich włosach i oddechu. Ich psychika — znowu gdy się tak zdarzy — jest wyłącznie kobieca, samicza, wysilona cała na podobanie się wybranemu mężczyźnie. Kochanie, gdy się w takiej dziewczynie rozżarzy, dochodzi do ofiary, do samozaparcia bez żadnego bohaterstwa, gdyż ona przekonana jest, że taki jej los, taka dola. Objawy kochania są szczere i swobodne, bo mało w chatach krępującego konwenansu, a pochlebne, delikatne i pokorne, bo nie śni się nawet takiej dziewczynie równouprawnienie z mężczyzną wogóle, a cóż dopiero z dworskim paniczem. Ten słodki typ

kobiecy zapada się już może w przeszłość? Utrwaliłem go w postaci Warszulki.

Dla Misia Rajeckiego, który nie docenia zrazu wysokiego gatunku Warszulki i dopiero po namyśle i po wysłuchaniu rad chłopomana Pucewicza uczy się szanować los i przyszłość swej ślicznej znajomej, ma Warszulka oprócz przemożnego fizycznego powabu i uroku — transcendentalny. Rajecki kocha gorąco swą ziemię rodzinną, jej przyrodę dziką i ludzi, którzy się po tej ziemi snują i gnieżdżą. Mając naturę wrażliwą i usposobioną do poezji, szuka nietylko powierzchownego poznania życia, lecz jego sensu, jego nastrojów, które są niby zapachami życia. A po romantycznem spotkaniu Warszulki na granicy wesołego dnia z kuszącą nocą, widzi w tej pięknej dziewczynie odrazu streszczenie, symbol tego wszystkiego, co sam kocha: dryjadę tych gajów, wysłankę losu naprzeciwko młodemu, ogromnemu pragnieniu miłości, które mu pierś rozpiera. Jest ona mu zrazu odpowiedzią ziemi na jego spragnione wołanie, boginką urodzoną z leśnych marzeń, a zarazem taką radosną, pachnącą pokusą do gonienia za nią, do całowania. Następnie, względy towarzyskie, czas, zmiana miejsca — modyfikują te przyśnione zapały. Romans po pochyłości zdaje się staczać w pospolitość. Ale jednocześnie poznaje Rajecki w oswojonej już nimfeczce jasną duszę kobiecą i spostrzega jej go-

rące uczucie, któremu on nie decyduje się jednak poświęcić całego swego życia. I sam, wbrew zapędom krwi, wbrew nawet... poezji, odsuwa od siebie Warszulkę. W tem miejscu sielanki dzieją się rzeczy ważne: Rajecki wyrasta na szlachetnego człowieka; inaczej pozostałby lekkoduchem i szkodnikiem. I dorysowuje się ostatecznie postać duchowa Warszulki, doskonałej miłośnicy, która zgadza się na wszystko, „co On każe".

Za triumf pisarski w tej książce poczytuję sobie, że Warszulka nie ma żadnej wady podkreślonej przeze mnie, ani w swej piękności fizycznej, ani w moralnej. To było dawniej pozwolone tylko niektórym bohaterkom poematów; w realistycznej powieści było nie do przemycenia, a jeśli kto pozwolił sobie na oprowadzanie perfekcji po szarych drogach codziennego życia, dostawał zazwyczaj admonicję od krytyki. Nie natrafiłem jednak na zarzut drukowany, lub mówiony, że Warszulka jest nieprawdopodobna, lub źle skonstruowana, lub papierowa. Pokochano ją ogólnie taką, jaka jest, a zapewne dlatego że istnieje sama przez się.

Podkreślić muszę jeszcze jedną odrębność „Sobola i panny" w szeregu moich książek poprzedzających: zupełną nieobecność polityki, co nie znaczy, aby nie było i tu troski o sprawy publiczne. W jednym tylko rozdziale XIV stary

Trembel w rozmowie z Rajeckim wypowiada kilka zdań pożytecznych o stosunkach polsko-litewskich, ale to szczegół charakterystyki Trembela, jednego z dawnych, mądrzejszych Litwinów kowieńskich. Zresztą opowiadanie, choć ma za podłoże osoby i drobne zdarzenia dawniejsze, płynie w roku 1911 jak zupełnie spółczesne, tak mało zależne jest od chwili bieżącej. Inne moje książki noszą w tekście datę, jeżeli nie wyrażoną (jak w „Dniach politycznych" i „Hetmanach") to dającą się łatwo określić w przybliżeniu. „Soból i panna" nie przypomina czytelnikowi żadnej wyraźnej daty, bo niema tu wzmianki o sprawach publicznych spółczesnych.

Czy to zaleta, czy ujemna strona „Sobola" w porównaniu do innych moich książek? Nie — to tylko odmiana. Wyznaję zasadę, że sprawa społeczna może być traktowana w powieści, i nietylko, jako domieszka, lecz jako temat przewodni.

To też bezpośrednio po sielance litewskiej napisałem powieść arcyspołeczną „Gromadę", o której wyżej była mowa.

Ale nęcił mnie jeszcze powrót do tematów sielskich, do nurzania się w pogodzie ziemi i pogodzie duszy, a zapas mój odpowiednich wrażeń nie był wcale wyczerpany. Innej wschodniej ziemi Rzeczypospolitej winien byłem

nieco odmienne wrażenia tej samej kategorji; sięgnąłem do wspomnień z białoruskiego Polesia.

Nie powróciłem jednak do planu poematowego, zastosowanego do „Sobola i panny". „Puszcza" jest co do formy regularną powieścią psychologiczną i obyczajową, wspólne zaś z tamtym utworem ma cechy uwielbienia dla przyrody dzikiej i wybór ludzi dobrych, albo podatnych do udoskonalenia, z domieszką drugorzędnych typów humorystycznych. Tylko tu do rzędu istot działających przybywa jedna, ożywiona wprawdzie, lecz nie ludzka — puszcza.

Przedstawiłem puszczę w odmianach czterech pór roku, z jej nietykanemi lasami, z wielką arterją rzeczną, a z różnych jej mieszkańców wybrałem jednego dygnitarza — głuszca, który streszcza jej tajemnicę, poezję i legendę. Treść myśliwska, ograniczona do polowania na głuszca, gra tu odmienną rolę, niż w „Sobolu i pannie". Jest najwyższym wyrazem uroku puszczy i służy w powieści do tego samego celu, co i cała puszcza — do czarów, pod których wpływem zmieniają się ludzie. Bo puszcza nietylko zabiera sobą dużo miejsca w tekście, lecz ma w powieści swe posłannictwo. Ona to przywiązuje do siebie ludzi w jej cieniach urodzonych do tego stopnia, że zrastają się z nią na życie, a po śmierci dusze ich wstępują w gra-

jące głuszce, jak dusza Moroza. Ona tchnieniem swem zaczarowanem żywi rozkwit takich kwiatów ludzkich, jak Renia Oleszanka i broni je od wszelkiej skazy zła i brzydoty. Ona przywraca zdrowie starganej duszy Kotowicza i z kosmopolity przerabia go na miłośnika i obrońcę rodzinnych borów. Puszcza jest w powieści nietylko dekoracją, lecz osobą czynną.

Ten sposób pisarski ma analogję w dawniejszej „Sprawie Dołęgi", gdzie zamek War jest również osobą czynną, streszczającą świetność i dumę dawnych rodów szlacheckich i rzucającą silne refleksy na charakterystykę osób w powieści.

Postacie ludzkie, występujące w „Puszczy", nie potrzebują komentarzy, dorysowane są i niedwuznaczne. Parę z nich przybyło do grona przyjaciół trwających w mej wyobraźni jako indywidua zupełnie określone.

Justyna Sasa wziąłem z żywego wzoru, zamieszkałego nawet w Mińszczyźnie. Tego prawdziwego pana ** (herbu Sas) widziałem tylko dwa razy w życiu. Był w istocie nawpół sparaliżowany, krotofilny i ofiarował mi, z łaski na uciechę, jakieś kobiece fotografje. Ale całą jego filozofję epikurejską i serdeczną uczynność i dobroczynną rolę w powieści dorobiłem z wymysłu, może i trafnie, gdyż wspomnienie realnego pana Sasa dobrze mi się kojarzy z moim Sasem fikcyjnym, którego oczywiście znam

dużo lepiej. Są osoby, które przy pierwszem spotkaniu zajmują moją uwagę czemś tak wyrazistem, konsekwentnem i zdefinjowanem, że wstaje mi w wyobraźni odrazu ich psychika i historja, których nie usiłuję nawet dokumentować przez ich wyznania, lub zbieranie o nich powiadomień, gdyż do zrobienia z nich literackiego typu wystarczają mi *moje* z nich wrażenia. Przeciwnie, gdy kto spostrzeże, że mu się przyglądam, i pragnąc dostać się do literatury, zacznie przede mną pozować, psuje mi zazwyczaj moje pierwsze cenne spostrzeżenia. Najgorzej zaś mylą się panie, które same siebie mają za literacko interesujące i ofiarują się na wzory bohaterek.

— Gdyby pan znał całe moje życie, toby pan dopiero napisał ze mnie (czy o mnie) powieść!

Z tego rodzaju ofert i wyznań nie pamiętam, abym odniósł kiedy jaką literacką korzyść.

Ale realny pan Sas nie pozował dla mnie, był tylko z urodzenia typem literacko wymownym. Typ jego wyrażał jaskrawo triumf ochoty do życia nad śmiercią, która już go do połowy ogarnęła.

Stary strzelec Moroz jest oryginalny, bo wszyscy ludzie leśni są oryginałami. Zrobiłem takich kilku w „Puszczy" (Szlaha, Halimon, Babaryka i t. d.). Ale Moroz, fizycznie portretowany ze znanego mi strzelca, otrzymał w mojej

powieści całe posłannictwo, jako duch opiekuńczy Turowicz, duży sens symboliczny i legendarny, zupełnie inną duszę, niż realny Moroz, starszy strzelec u pp. Kieniewiczów w Bryniowie, który okazał się później wcale nie przyjacielem swych chlebodawców, a i odrazu wyglądał mi na podejrzanego wygę. Był jednak w swych pozorach, talentach i wyrażeniach tak malowniczy i tak dla puszczy charakterystyczny, że musiałem go użyć do powieści, przemalowawszy mu tylko duszę.

Na Renię Oleszankę nie znam absolutnie żywego prototypu. I tutaj, podobnie jak Warszulkę w „Sobolu", ubrałem Renię we wszystkie wdzięki i wartości podpatrzone w młodych kobietach ze sfery ziemiańskiej szlacheckiej, jak tam zebrane z kobiet polnych. Jedyną myślą przewodnią, apriorystyczną było mi narysowanie panny streszczającej wszystkie zalety przyszłej żony. I ta idealna towarzyszka dla znerwowanego światowca, który powraca do swej dziedzicznej natury osiadłego ziemianina — udała się, w mojem pojęciu — dobrze: jest rzadka, jednak prawdopodobna. Powątpiewania o ziemskiej możliwości Reni zdarzyło mi się słyszeć tylko od osób, które takiej postaci jasnej i prostej nie mogły zrozumieć, bo same były zbyt... skomplikowane. Jedna stara semitka, ogromnie polska i ogromnie zliteraryzowana, przystąpiła do mnie z takiem zdaniem:

— Ach, panie! jaka cudowna pańska Renia! — ale czy takie są na świecie?

— Bywają, proszę pani — odpowiedziałem — ale bardzo daleko od nas.

Z powyższych adnotacyj okazuje się, że trzy postacie literackie zrobione zostały każda inną metodą twórczą. Justyn Sas podobny jest zewnętrznie do swego żyjącego wzoru, a psychikę ma, jeżeli nie zupełnie naśladowaną, to zbliżoną do tegoż wzoru. — Moroz, malowany z natury jeszcze wierniej, psychikę otrzymał, rzec można — odwrotną. — Renia zaś zrobiona jest w powieści bez żadnego wzoru; widzę ją wprawdzie doskonale, lecz nie znajduję w niej wyraźnego podobieństwa do żadnej z moich znajomych. — Jeżeli zaś wszystkie te trzy postacie są udatne, a nadto niewiadomo, która z nich lepsza[1]) — rodzi się zapytanie, którą z tych metod stosować należy przy czerpaniu z życia wzorów na postacie powieściowe? W powyższem zestawieniu zawiera się i odpowiedź: niema metody do zalecenia i niepodobna podawać przepisów na twórczość.

„Puszcza", podobnie, jak „Soból i panna", pozbawiona jest zupełnie ironji i satyry. Optymizm wieje przez tę książkę i usiłowałem nie zamącić go. Jedyny typ ujemny a nawet wstrę-

[1]) Twierdzenie to opieram nietylko na własnem uczuciu, lecz na plebiscycie mych czytelników.

tny, pani Teo, usunąłem umyślnie z widowni; poznajemy ją tylko z rozmów innych osób. Gdyby ta pani zjawiła się osobiście w puszczy, obraz byłby splamiony. Tego błędu uniknąłem. Natomiast uczyniono mi inny zarzut dotyczący pani Teo.

W rozdziale II, z rozmowy Edwarda Kotowicza z Kamilem Werdą dowiadujemy się o dziwnych obyczajach pani Teo, mianowicie o jej nagim tańcu, który zainscenizowała raz dla olśnienia Kotowicza. Opisałem taniec plastycznie i zmysłowo. „Puszcza", przed ukazaniem się w książce, wychodziła w paru dziennikach, między innemi w „Dzienniku Poznańskim". Gdy wydrukowano zkolei opowiadanie o tańcu Teo, jedno stowarzyszenie dam poznańskich, stojące na straży dobrych obyczajów, podniosło alarm. Damy te zwróciły się do redaktora „Dziennika" p. Puffkego z protestem przeciw drukowaniu utworów tak gorszących — groziły nawet interwencją ks. biskupa Likowskiego, którego do swej akcji zdołały podobno przekonać. — Redaktor zajął się energicznie uśmierzeniem nadwrażliwych sumień tych pań, a dalszy ciąg powieści uspokoił je ostatecznie.

Ten protest zwrócił mi jednak uwagę na inkryminowane karty. Że potrzebne są, a nawet nieodzowne w powieści — tego byłem pewien. Ale może użyłem wyrazów zbyt malow-

niczych, niedość dyskretnych przy opisie obrazu ryzykownego?

Poszedłem do Henryka Sienkiewicza, który czytywał „Puszczę" w odcinkach „Kurjera Warszawskiego" z upodobaniem, jak mnie sam zapewniał; opowiedziałem mu o „akcji" pań poznańskich i zapytałem wprost, co sądzi o scenie tańca. Odczytał ją uważnie i rzekł:

— Paru wyrazów w tym opisie jabym nie użył (były to wyrazy zbyt... dotykalne). Ale zresztą — tłumaczyć się nie będziemy.

Postąpiłem za radą Mistrza. W tekście książkowym zmodyfikowałem parę zdań. I nie tłumaczyłem się dotąd nikomu — dopiero dzisiaj w tym Pamiętniku, w którym czynię spowiedź generalną ze swych pobudek i zamiarów autorskich.

Tłumaczę się zatem. Gdybym wzmianki o charakterze i obyczajach pani Teo rozsiał tu i owdzie po tekście, uzasadnienie moralnego przygnębienia Kotowicza, przyjeżdżającego do Turowicz, byłoby mdłe i mogłoby ujść uwagi czytelnika. Musiałem raz tę panią wystawić na pokaz, uplastycznić jej zmysłową ponętę i perwersję, bardzo potrzebne dla zrozumienia stanu duszy i nerwów Kotowicza i jako „repoussoir" do całej moralnej istoty Reni. Ponieważ, dla powodów wyżej wyłuszczonych, postanowiłem posługiwać się tylko wspomnieniami o pani Teo, musiałem dać choć jedną o niej relację jaskrawo

charakterystyczną. Te karty są nieodzowne. — Jeżeli zaś cnotliwe panie poznańskie dadzą kiedyś swym dorastającym córkom do czytania „Puszczę", jako jedną z najmoralniejszych powieści polskich, mogą te karty o tańcu zalepić białym papierem. — Tak niegdyś — przypominam sobie z lat dziecięcych — dano mi po raz pierwszy „Pana Tadeusza" z zalepionemi ustępami o romansie Tadeusza z Telimeną.

„Puszcza" w wydaniu książkowem ukazała się już po wybuchu wielkiej wojny, po obu stronach frontu: w Krakowie i Warszawie pod okupacją niemiecką, w Kijowie zaś na tyłach armji rosyjskiej. Znajdowałem się podówczas w Rosji, więc mogę sądzić tylko o pierwszem wrażeniu, które wywarła „Puszcza" na rzesze Polaków tam zamieszkałych, lub zabłąkanych. Wrażenie miało charakter jednolity — kojący. Recenzyj prawie tam nie było, bo kilka zaledwie istniejących dzienników polskich pisało wyłącznie o wojnie. Ale ktokolwiek mówił ze mną o „Puszczy", nie ominął wyznania, że przy czytaniu odpoczął od okropności wojny. Książka dawała przejmujące wrażenie upragnionego spokoju. Może też i gloryfikacja ich rodzinnego kraju ujmowała serca Polaków kresowych? Najcenniejszą dla mnie pamiątką kojącego działania „Puszczy" jest fakt następujący:

Roman Narkiewicz - Jodko, znany i szanowany obywatel polski na Białorusi, dostał

się do więzienia bolszewickiego za przewiny główne, był bowiem zamożnym ziemianinem, kontrrewolucjonistą i wyraźnym Polakiem. Trapiony w więzieniu przez katów, nękany przeczuciem bliskiej śmierci, pocieszał się czytaniem moich książek pogodnych i tłumaczył je na język rosyjski. Poczem wyzionął ducha ofiarnego za antybolszewickie ideały. Pozostała po nim wdowa udzieliła mi tych powiadomień i ofiarowała rękopis tłumaczenia „Puszczy", przygotowany do druku. Tłumaczenie „Sobola i panny" przepadło w więzieniu. To świadectwo ulgi przyniesionej niewinnemu skazańcowi przez moje książki jest mi bardzo drogie.

VIII.

„Puszcza" stoi na krańcu mojej minionej, wolnej produkcji literackiej. Zdanie to brzmi zagadkowo, jest jednak ściśle prawdziwe. Do 1 sierpnia 1914 r. życie — burzliwe, ale znośne — więzienne, lecz przeszyte często promieniami nadziei — dawało mi tematy pisarskie bądź co bądź wykonalne. Od wybuchu wielkiej wojny kolosalny zamęt świata sprowadził odrazu zanik literatury; orkanowa wichura pierwszym podmuchem zmiotła te ulotne mgławice, te lekkie świstki papieru, które składają się na dzieła mniej lub więcej trwałe. Nie mnie jednemu zdarzyła się ta przygoda. Rzec można, że cała literatura piękna europejska, będąca w zawiązkach, rozpierzchła się w wichurze, poszła z dymem dział i pożarów. „Zamilkły muzy" i do dziś dnia ledwie odzywają się nieśmiało. — Lecz daleki od pisania tu szkicu dziejów literatury powszechnej, ciągnę dalej moje własne wyznania autorskie.

Wojna stłumiła we mnie naraz ambicje literacko-artystyczne, wzbudzając natomiast pa-

lącą troskę o los nasz ogólny, który oczywiście musiał w tym przewrocie ulec radykalnym zmianom. Zacząłem pisać artykuły polityczne, rozświetlające, według mego rozumienia, doniosłą chwilę dziejową. Wydrukowałem ich kilka w dziennikach. Wkrótce jednak przekonałem się, że nie zdołam przekrzyczeć ani huku dział, ani nawet wrzawy powszechnej dyskusji politycznej. Artykuły moje zyskiwały sobie pochwały u publiczności, ale o ich działaniu czynnem nie było mowy. Była to zresztą epoka, w której powieściopisarze i poeci nie mieli wcale posłuchu, a spostrzegłszy to rychło, milczeli. Nawet Sienkiewicz, którego zdanie w każdej sprawie polskiej miało wielki mir przed wojną, chociaż zajął się bardzo gorliwie akcją ratunkową na korzyść ofiar wojny, nie wypowiedział wtedy jasno swych zapatrywań na politykę.

Tkwiło we mnie jednak uporczywe przekonanie, że obywatele baczniejsi powinni zwracać uwagę mniej bacznych na kierunki i działania pożądane, a ostrzegać ich przed nieopatrznemi i zgubnemi. Że zaś do przemówień publicznych nie mam talentu, pisałem różne rozprawy publicystyczne, które najczęściej niemożliwe były do ogłoszenia pod cenzurą rosyjską wojenną. Przekonawszy się zaś, że moje odezwy wydrukowane mijają bez pożądanego echa, zniechęcałem się powoli i do rozpraw większych, zwła-

szcza że były przeznaczone na działanie doraźne, a nie wiedziałem, gdzie je oddać do druku. Pisałem zresztą coraz trudniej pod wpływem grzmotów i przewrotów. Pod koniec pierwszego roku wojny poczułem straszne przygnębienie moralne z powodu niemożności zadowolonego tworzenia, do którego przywykłem, a przybyła do utrapień prawdziwa nędza materjalna.

Na parę tygodni przed wejściem Niemców do Warszawy wyjechałem na Litwę, następnie dalej na Wschód. Przeżycia moje na emigracji nie należą do treści „Pamiętnika", jednak te z nich nastroje, które wywarły wpływ na moją gotowość pisarską, pragnę wymienić.

Znalazłem w Mińszczyźnie, następnie w Kijowie, w Petersburgu i Szlisselburgu, to znów na Podolu i zpowrotem w Kijowie oazy dobrobytu i przyjaznego ciepła, które mi znacznie pokrzepiły ducha. Pokrzepienie odbiło się natychmiast dodatnio na mojej werwie pisarskiej. W ciągu trzech z górą lat pobytu na Litwie i w Rosji zdarzały się nietylko dni, lecz dłuższe okresy sztucznej beztroski, podobnej do pijaństwa — przeżytki bujnej młodości, która czasem jeszcze raczyła się odzywać. Chociaż były to dni wyjątkowe, coraz rzadsze w miarę postępów okropności wojennych i rewolucyjnych, żywiły mnie te chwile pogodne i dawały zapas wytrzymałości na okresy ponure i groźne. W dni pogodne pisywałem wesołe wiersze —

niektóre dobre — bawiłem się i zapominałem o srogiem życiu. Ale podczas okresów ponurych, dużo częstszych, rozmyślałem o przewale ogromnych wypadków i o swoich obowiązkach pisarza.

W tych to czasach poczęła się powieść, której złorzeczyć nie mogę, jako rodzonemu dziecięciu, która jednak kosztowała zbyt wiele czasu i ciężkiej pracy, dała zaś wynik niezupełnie zadawalający. Umyśliłem przedstawić w formie powieściowej przeżycia dusz polskich podczas wojny. Taki temat był wogóle niewykonalny, trzeba go było ograniczyć do przeżyć *kilku* dusz polskich. Ale pragnąłem też zapisać swoje własne przeżycia, co było do pogodzenia z tematem głównym. Jednak moje przeżycia, chociaż typowe i głęboko odczute, zawierały mało materjału powieściowego i tragicznego, jak na tę epokę, w której nędza materjalna, tortury i śmierć były zdarzeniami powszedniemi.

Myśląc o tej powieści, wykonywałem niektóre roboty przygotowawcze: notowałem suchą kronikę i chronologję wypadków, spisywałem czasem lepiej sformułowane karty własnego pamiętnika. Szukałem zaś mozolnie, ciężej niż kiedykolwiek, odpowiedniej fabuły, celowo wyrazistych postaci, splotu losów jakiejś grupy, jakiejś rodziny, zdatnego do odtworzenia

wstrząśnień wojennych w duszach ludzkich. Nie zanosiło się jeszcze na koniec wojny, wybuchu rewolucji w Rosji tak bliskiego nie przewidywałem, gdym się odważył na krok niecierpliwy. Mając już zebraną i jako tako ustawioną grupę osób polskich, a między nią „szlachetnego Rosjanina", napisałem sporą część powieści i zacząłem ją nawet drukować w „Dzienniku Polskim", wychodzącym w Petersburgu, p. t. „Powieść o nocy i świcie". Miała się ta część utworu kończyć przymusowem wychodztwem ludności polskiej do Rosji. Przyszłe przewroty wojenne miały mi dostarczyć wątku do dalszego ciągu powieści.

Nigdy nie zbudowałem planu tak lekko i tak warunkowo. Drukowano już ten elaborat, gdy zaczęły się szerzyć coraz wyraźniej groźne pomruki rewolucji socjalnej. Jednocześnie moja powieść zaczęła mi się nie podobać, wkrótce nabrałem do niej niechęci i poprostu — przerwałem pisanie. Nie namyślałem się wcale nad tem, jak w dalszym ciągu powieść naprostować, a tem bardziej, jakby się z rozpoczętego zamiaru wykręcić. Poczułem i postanowiłem, że tę powieść w tej formie przerwę i porzucę. Od pewnego rodzaju literackiego skandalu, który stał się w Dzienniku, wybawił mnie pomyślny (dla tego jedynie interesu) zwrot dziejowy: wybuchła rewolucja w Rosji, a wkrótce potem

„Dziennik Polski" zawiesił swe wydawnictwo, którego już nie wznowił.

Rewolucja rzuciła jaskrawe refleksy wstecz na mój urwany plan powieściowy. Nie na temat główny, lecz przedewszystkiem na zamieszanie Rosjanina do szeregu postaci. Co ten szlachetny Moskal miał odtąd robić w mojej powieści? Plunąć na swą ojczyznę i stać się Polakiem? — To zakrawałoby na niesmaczny melodramat. A gdyby i to dało się zmieścić w fabule, naco by się przydało? Naco on był właściwie potrzebny od początku, kiedy zakrój główny utworu, i tak już szeroki, miał obejmować wrażenia wojny w duszach polskich, nie innych? — Wykreśliłem plan pierwszy z szeregu swych dzieł, choć pozostał fragmentarycznie w Dzienniku.

Mordował mnie jednak ciągle zamiar główny, chociaż do jego wykonania zabrakło na czas długi fizycznej możliwości. Wątpię, aby ktokolwiek pisał powieść spółczesną, siedząc, jak ja, podczas wybuchu pierwszej rewolucji w Petersburgu, a pod drugą, bolszewicką — w Kijowie.

Zabrałem się jednak znowu do „Nocy i świtu" po powrocie z Rosji, w Warszawie, kiedym tylko znalazł w niej jakie takie mieszkanie, w r. 1919. Z pierwszego pomysłu usunąłem przedewszystkiem Wiljaszewa (tak się mój Moskal nazywał), następnie zaś wszystkie inne po-

staci z wyjątkiem jednej, fantastycznej, która tam się nazywała „księdzem Markiem", obecnie zaś „Starym Przeorem". Pozostawiłem też krajobraz radomski i niektóre sceny pierwszej części, między innemi kazanie księdza w nocy, przy samym wybuchu wojny. Zasadniczą inowacją było wprowadzenie do powieści postaci z „Hetmanów" — Tadeusza Sworskiego i Zofji Czadowskiej, oraz zidentyfikowanie ideowe Starego Przeora z dawniejszym Wojciechem Piastem. Tym sposobem powieść „Noc i Świt" nabierała dodatkowego znaczenia i stawała się „Hetmanów" częścią drugą.

Ale znowu przekorne wspomnienie z czasu pobytu mego w Rosji uczepiło się powieści w postaci siostry miłosierdzia Rosjanki, „siestrycy Tani". Tania była nawet wcale dobrze narysowana, ale gdybym ją pozostawił w tekście ostatecznym, odciągałaby uwagę czytelnika w kierunku wcale niepotrzebnym dla ideowego założenia całości, które pozostało niezmiennem. Powieść utknęła znowu na rozdziałach uwydatniających Tanię, jako uwodzicielkę niezłomnego rycerza polskiego Bronka Linowskiego. Był to pomysł ryzykowny. Porzuciłem na długo rękopis.

W latach 1920—1921 napisałem pamflet „Cudno i ziemia Cudeńska" i parę „humoresek szubienicznych", o których wspomniałem po-

wyżej. W lecie 1921 r. nawiedziła mnie ciężka i przewlekła choroba żółciowa, która mi zabrała czas do końca roku, a zatruła poczęści i rok następny, dodając nowy ciężar do zwykłych zabiegów o pieniądze, o mieszkanie i t. p. nieznośnych szamotań dobrze znanych większości mych rodaków.

Dopiero w r. 1923 postanowiłem za wszelką cenę doprowadzić „Noc i Świt" do formy ostatecznej i do druku. Musiałem odłączyć od siebie ten temat, który mi był jednocześnie nakazem twórczym i ciężarem. Zasiadłem do pisania po raz trzeci, mało co zmieniając w początku, lecz pisząc na nowo od miejsca, gdzie zaplątała się do powieści Tania, którą usunąłem zupełnie. Pisałem długo, mozolnie, aż do połowy roku 1924.

Temat pozostał dawny: co czuł i myślał zdrowy Polak w okresie bezecnej na naszym froncie „nocy" i mglistego, chaotycznego „świtu". Ten Polak nie był unikatem w Polsce; żyją tłumy jego gatunku, całe pokolenie ludzi zdrowych, naogół czystych, ale niestety mało czynnych. Dlatego w drugiej już książce biorę za postać główną refleksyjnego, bardzo wrażliwego na pożytek ojczyzny, lecz mało czynnego praktycznie Tadeusza Sworskiego, dodając mu powagi przez pokrewieństwo duchowe z wielkim Duchem narodu, nieomylnym i obrończym,

którego dla braku indywidualnego wzoru umyśliłem trzymać w zarysach fantastycznych, w przebłyskach, w formach kanonicznie zakazanych pisarzowi powieści spółczesnych.

Przy pisaniu „Hetmanów" i tej ostatniej powieści zdawałem sobie sprawę z niebezpieczeństw tej zuchwałej licencji pisarskiej. Fachowi krytycy upomnieć mnie musieli, że tak się nie pisze w dobrze wychowanem przez krytykę towarzystwie literatów. Jedyną moją obroną przed tym wyrokiem, jest oświadczenie, że wiem o tem i że dowiodłem umiejętności pisania też inaczej.

W ostatniej powieści posunąłem się dalej w niesforności antykanonicznej. Niema tu już, jak w „Hetmanach", zaciekawiającej fabuły, ani zawikłań miłosnych; losy pojedyńczych ludzi znikają prawie na spiętrzonych falach ogólnego losu Polski. Po przeżyciu lat okrutnych wojny, w której skazani byliśmy na bezwolne ruchy przez siły obce, miotające nami, po rozejrzeniu się w brzasku Polski nowej, której słonecznemu wschodowi stawało na zawadzie tyle chmur wrogich i moc zatrutych wyziewów swojskich — poczułem się do obowiązku głoszenia *prawdy* o chwili dziejowej.

Nie żeby ta prawda nikomu nie była znana, albo trudna była do odgadnięcia, lecz że tkwiła bezgłośnie w rzeszach ludzi zmęczonych, drżą-

cych jeszcze od gwałtu wojny i nędzy powojennej, a natomiast głośne trąby w kraju i za granicami rozgłaszały hasła i kierunki dla Polski zabójcze. Trzeba było zatem zawołać, że Judeo-Polska nie jest ewolucją, lecz negacją Polski, że Prusak jest jedynym nieprzebłaganym wrogiem naszego istnienia, że Polska musi istnieć przez siebie i dla siebie. — Zapragnąłem przypomnieć jak najdobitniej, oświetlić jak najjaskrawiej takie i od nich pochodne komunały, w których jednak tkwią dogmaty kardynalne polskiej religji.

Gdybym te nawoływania drukował po dziennikach lub wygłaszał z jakiej mównicy, na nieswoich terenach znalazłbym mało posłuchu. Pozostałem na terenie swoim, gdzie już dawno jestem zagospodarowany: napisałem powieść, choć trudno i boleśnie. Jeden krytyk wyraził się o moim zamiarze przenikliwie, mówiąc, żem jako pisarz taki a taki... chętnie czytany, postawił sobie tym razem zadanie ascetyczne. Rzeczywiście łatwiej mi było napisać naprzykład romans między nieskazitelnym ułanem Bronkiem i polską dzieweczką Hanką, a tylko w tle i w nawiasach przemycić coś z myśli, które mnie przez lata całe nurtowały. Postąpiłem sobie przeciwnie: tło przerosło nadmiernie fabułę romansową, bo w tle tkwiły wyjątkowo zajmujące losy Ojczyzny. Świadomie zepsułem kanon po-

wieściowy dla innych celów pisarskich, które mi się tym razem wydały donioślejszemi. Zrozumieli to i przebaczyli mi krytycy głębocy i niezawodnie polscy, jak naprzykład Zygmunt Wasilewski.

Trzebaż raz ustalić prawdę o tem, co się działo w Polsce podczas wojny i bezpośrednio po niej. Książka moja usiłuje przyczynić się do tej rewelacji, ciągle jeszcze zasłanianej przez zatwardziałych grzeszników wojennych, którzy Polskę dociągali do swych obłędnych programów.

Książkę moją odchyliłem od służby Sztuce, aby ją poświęcić dwom Istotom jeszcze wyższym, a srodze za dni naszych poniewieranym — Prawdzie i Polsce.

Wszystkie te wynurzenia moje o powstaniu i o celach „Nocy i Świtu" nie zmierzają ku twierdzeniu, że ta książka udała się doskonale. Owszem, jest pełna niedoskonałości, pochodzących od wyboru przedmiotu... niedoskonałego: minionej wojny i kruchego po niej pokoju. Wojna nie osiągnęła w zupełności pożądanych skutków: upokorzenia pychy i zdruzgotania potęgi Niemców. Wojna, chociaż wydźwignęła z katakumb jeden z największych narodów europejskich, nie toczyła się w Polsce rytmem heroicznym. Wielka tragedja dziejowa była pełna niespodzianek, wahań, ofiar bezcelowych,

a szczególniej zgrzeszyła przez niedokończenie swego zbawczego dla ludzkości dzieła. Każdy pisarz-artysta, który zapragnie wziąć za przedmiot tę straszną wojnę w jej prawdzie i całości, stworzy dzieło ponure i rwane w wątku bohaterskim. Jednak kto inny, niż ja, potrafi zapewne zrobić to kiedyś lepiej.

IX.

Jedenaście tomów omówionych w poprzednich rozdziałach składa dotychczasowy mój dorobek literacki główny, w nich bowiem odbija się najwięcej rysów indywidualności pisarskiej. Nowele, o których chcę tu wspomnieć, są poczęści wysnute z moich przeżyć, bardzo transponowanych, jak „Zaręczyny Jana Bełzkiego" (1891) i „Wyroki" (1906). Te dwie i „Za błękitami" (1898), dorobiona do snu, który mi się wyśnił bardzo plastycznie — są raczej skróconemi powiastkami. Inne, bardziej zbliżone do klasycznego typu noweli, to „Znaj pana", „Pani Teodora" i najgłośniejsza, bo tłumaczona na różne języki — „Pod piorunami". Jest ich jeszcze kilka drukowanych tu i owdzie.

Nowele przychodziły mi do głowy przypadkowo, nastręczała mi je zwykle jakaś pobudka mniej ściśle związana z memi planami pisarskiemi, czasem nawet pobudka obca. Naprzykład „Pod piorunami" zrobiłem z krótkiego opowiadania obojętnego mi człowieka, które poruszyło we mnie drzemiące od lat dziecięcych

sympatje do prześladowanych unitów i do odważnych księży spiskowców, którzy się dzikim zarządzeniom moskiewskim opierali.

Nie lekceważę bynajmniej rodzaju noweli, mam nawet kult szczególny dla niektórych, zwłaszcza dla nowel Maupassant'a, działających elektrycznie, a odsłaniających całe obszary skoordynowanych rojeń. Ale mnie rzadko przychodziły pomysły w tej formie. Najlepsze swoje usposobienia pisarskie zużywałem zwykle do pisania dłuższych powieści. Zato nowele, gdy mi się nawijały pod pióro, pisałem łatwo i szybko.

Nie mogę zaś tego powiedzieć o moich wierszach, które zabrały mi bardzo wiele czasu w początkach mego zawodu i bez odpowiedniego wyniku.

Wierszy najwięcej pisałem w wieku niedojrzałym na pisarza. Terminowałem bowiem na „poetę", nie na prozaika, w czasie gdy wielka powieść polska rodziła się dopiero, a za największego z jej twórców uchodził Józef Ignacy Kraszewski. Ale chociaż czytywałem Rzewuskiego, Kraszewskiego, Korzeniowskiego, Kaczkowskiego, Ignacego Chodźkę, chociaż zajmowały mnie i bawiły ich utwory, traktowałem je — o dziwo — dość lekko, a laury tych autorów dawały mi spać spokojnie. Dopiero Sienkiewicz, Tołstoj i powieściopisarze francuscy ukazali mi obszar działania prozaika-artysty.

Ale od lat najmłodszych żywiłem kult dla poetów piszących wierszem i to pierwszorzędnych, przedewszystkiem dla Mickiewicza, który, jako mocarz ducha i słowa, jako Litwin, a patrjota polski nieomylny, najlepiej odpowiadał moim wrodzonym instynktom i majaczącym dopiero ideałom. Nieco później zapaliłem się do Słowackiego, nigdy tak serdecznie do Krasińskiego, choć go przewertowałem sumiennie. Lubiłem bardzo Horacego, Byrona, Musseta... Nie chodzi mi tu o wyliczenie mych pisarzy ulubionych, ani o wpływy tego lub owego na moją działalność literacką — co wogóle jest bardzo trudno obliczalne — ale o proste wyznanie, że w epoce mego dojrzewania żywiłem się chciwie poezją, a wyłącznie poetów miałem za wielkich pisarzy i za duchy dla mnie przewodnie.

Chciałem i ja pisać szczytne wiersze. Jednak wiersze moje dziecięce były marne i naśladowcze. Jedyne, które wypadły udatniej, między 16-ym a 21-ym rokiem życia i miały lokalne powodzenie, to wiersze satyryczne na profesorów i kolegów. Pisałem jednak uparcie wiersze miłosne, patrjotyczne i bajronowskie poematy. To wszystko były miernotą, dzisiaj nieistniejącą. Nawet w ocalonych lepszych urywkach nie poznaję dzisiaj początków siebie samego. Siebie zaś z owej epoki pamiętam wcale jasno, ale *book* tamtej jałowej pisaniny. Zaledwie kilka wierszy miłosnych przypomina mi nastroje.

Około 25-go roku życia odkryłem Heinego, którego ani w domu rodzicielskim, ani w szkole, ani nawet na uniwersytecie w Dorpacie nie spotykałem. Ten poeta, tak mało w swej treści wewnętrznej odpowiadający memu usposobieniu, zaimponował mi swem mistrzostwem formy. Tak drwić i smagać satyrycznym biczem, takie znów przedziwne tony liryczne dobywać z niezgrabnego, choć przemądrzałego narzędzia niemieckiej mowy — nie potrafił chyba żaden. Ten bardzo obcy człowiek, lecz artysta niezrównany przykuł mnie do siebie na długie lata, zwłaszcza na okres mej prostracji pisarskiej 1885—1890, o której wyżej wspomniałem. Tłumaczyłem i parafrazowałem całe cykle jego wierszy wówczas i później; tylko najudatniejsze przekłady oddałem do druku. Mój pociąg do genjalnego niemieckiego liryka mógłbym objaśnić przez przypadkowe zbliżenie jego twórczości do wyjątkowych faz mojej psychiki — i pociąg ten gra małą rolę w nikłej mojej produkcji wierszowanej. Dziwniejszy jest ogólny wpływ Heinego na lirykę polską spółczesną, wpływ widoczny i namacalny w dziełach nawet mistrzów naszej mowy wiązanej. — Ale tu nie miejsce na podobne wywody.

Wiersze własne pokaźne zacząłem pisać około 30-go roku życia, ale wówczas pisałem już i prozą. Następnie zdarzały mi się w różnych epokach strofy dźwięczne, poprawne, na-

ogół raczej zgrabne, niż porywające. Te utwory, krótkie i liryczne, zawierają przeważnie wynurzenia miłosne. Jedyny też tom wierszem, który wydałem oficjalnie, to „Erotyki". Nie stoją one pod żadnym względem na równym poziomie z moją produkcją prozaiczną — i mogę śmiało powiedzieć, że lepszym okazałem się poetą w „Sobolu i pannie", niż w wierszach.

Wbitego w głowę ćwieka, że muszę zostać poetą-wierszopisem, wyrwałem może za późno, — co opóźniło moje wystąpienie w literaturze prozaicznej, — ale próby wierszowania nie spaczyły mi przecie literackiego zawodu. Może nawet skorzystałem trochę z gimnastyki wersyfikacyjnej dla ozdobienia mojej prozy?

Między 27-ym a 30-ym rokiem życia od wierszowania przechodziłem, ociągając się, do prozy, zawsze jednak do prozy twórczej. Pierwszy mój pomysł powieściowy, pokrewny z założeniem późniejszej „Sprawy Dołęgi", przyszedł mi najprzód w formie wierszowanej jakiegoś dramatu, czy „haute comédie", przerobiony zaś został następnie na prozę. W obu przemianach ten niedoszły utwór pozostał we fragmentach, które zniszczyłem. Długo jeszcze miałem prozę za niższy stopień piśmiennictwa, używałem jej zaś głównie do notat pamiętnikowych, w których mieściły się obok kart kronikarskich i wynurzeń lirycznych także wrażenia z dzieł przeczytanych — recenzje. Do ogłasza-

nia studjów i rozpraw literackich niebardzo się jednak kwapiłem, a do dziennikarstwa nie miałem wcale pociągu.

Dopiero gdym został *de nomine* a następnie coraz bardziej *de facto* redaktorem miesięcznika naukowo-literackiego *Bibljoteka Warszawska*, poczułem się do obowiązku przymierzenia na sobie togi profesorskiej i wystąpiłem z pierwszą rozprawą krytyczną: „Maurycy Maeterlinck i dekadentyzm symboliczny" (1891 r.). Jest to artykuł pisany z rozmachem, w treści nierówny, ale charakterystyczny dla mego stanowiska krytyka.

Przeczytałem wówczas tragedję Maeterlincka „La princesse Maleine", hyperbolicznie przechwaloną przez krytykę francuską. Budowa, styl, zuchwałości antyestetyczne tego utworu przeczyły wszystkiemu, com cenił i kochał w literaturze pięknej. „Zrąbać" tę tragedję było nietrudno, ale przystąpiłem do krytyki wcale nieobcesowo. Przeczytałem wszystko, co był napisał podówczas Maeterlinck; przywiozłem z Paryża cały kufer pierwszych wydań dekadentów francuskich, nabrany u ich głównego wydawcy Leona Vanier, — tomiki i broszurki Stefana Mallarmé, Pawła Verlaine, Artura Rimbaud, René Ghil, Jana Moréas etc. etc. — przetrząsnąłem całe to wonne kwiecie z grubą domieszką siana — i napisałem pracowite studjum z głównym naciskiem na portret Maeter-

lincka. Niejaką wadą mej dokumentacji było, żem nie przewertował pokrewnych Maeterlinckowi dekadentów belgijskich.

Nie będę tu dzisiaj streszczał, ani dopełniał owego studjum z przed lat 35-u. Jest niedostateczne już przez to samo, że Maeterlinck napisał od owego czasu sporo dzieł dużo wybitniejszych, dojrzalszych, poprostu lepszych. Ale ten mój pierwszy artykuł nosi wyraziste cechy mego stanowiska jako krytyka, które utrzymałem we wszystkich swoich występach tego rodzaju.

Jako krytyk nie byłem nigdy upartym wyznawcą jakiejś szkoły, a tem bardziej zwolennikiem naśladowania klasycznych wzorów. W arcydziełach dawnych rozróżniałem niespożyte i wieczne walory od ułomności, których bynajmniej nie ceniłem za to, że są stare. Tę samą miarę przykładałem do świeżych objawów literatury. Nowości dodatnie, czasem olśniewające napełniały mnie radością, ale nienawidziłem specjalnie inowacyj polegających na zaprzepaszczaniu wiecznych walorów literatury, a na używaniu natomiast szmermeli zadziwiających nowością, pustych, a często wprost przekornych pojęciom estetycznym ludzkości.

Gdyż są takie pojęcia estetyczne odwieczne — o czem wartoby pomówić; tylko przy innej sposobności.

Otóż w pierwszych utworach Maeterlincka są inowacje nieprzemycalne do dzieła sztuki i te mnie pobudziły do silnego, umotywowanego protestu. Sądzę, że utalentowany ten pisarz, który swe młodociane wybryki nagrodził wielu pięknemi dziełami, szukał szczerze swej drogi przez te „Princesse Maleine", lub „Serres chaudes" — lecz nie mogę się i dzisiaj wyzbyć przekonania, że znajdował się wówczas na manowcach.

Bardzo rzadko pisałem o literaturze zagranicznej. Później, gdy mi się zdarzało brać do ręki pióro krytyka, wyrażałem zdanie o literaturze polskiej bieżącej. I stale trzymałem się tej samej zasady, co w pierwszem swojem studjum: odróżniałem jasne i trwałe piękno od problematycznego. Gdy zaś pisałem o nowej produkcji polskiej przybywała mi pobudka gorętszego zainteresowania. Kocham wszechświatową literaturę piękną, nawet wszystkie sztuki piękne, jednak literatura polska jest mi naturalnie najukochańszą. Manifestowałem zatem radość, gdy do skarbnicy naszej przybywały arcydzieła, jak np. „Chłopi" Reymonta, ale zarazem odczuwałem boleśnie, gdy jakaś osobliwa konfederacja krytyków wydźwigała sztucznie do rzędu największych pisarzy polskich np. Wyspiańskiego, którego cenić należy głównie za jego zamiary, lecz mniej za wykonanie dzieł w formie ułomnej. — Senat pisarzy polskich od

16-go wieku do dni naszych nie jest byle jakiem zbiorowiskiem, aby w nim rozdawać naczelne krzesła bez głębszego namysłu. Tym sposobem obniżyć można powagę i świetność naszej literatury.

Artykuły moje „O laurach Wyspiańskiego" narobiły swego czasu sporej wrzawy, choć nie wywołały dyskusji; ograniczyły się do napaści na mnie tak drobnych wielbicieli Wyspiańskiego, że nie miałem z kim dyskutować — i żadnemu też nie odpowiedziałem. Nie chcę i tu nikogo z tych napastników wymieniać, ani ich pognębiać nazwiskami wielkich pisarzy naszej epoki, którzy zasadniczo byli mojego zdania.

Jednak te artykuły „O laurach Wyspiańskiego" mają jedną wadę, o której właśnie nikt z malkontentów nie wspomniał — wadę zbyt lekkiego tonu. Nie znaczy to, abym je napisał na kolanie, bez gruntownego przygotowania. Przed pisaniem odczytałem kompletny zbiór dzieł Wyspiańskiego i miałem o nich zdanie wyrobione. Ale obrałem sobie dla mych „Rozmów literackich", które zawarły między innemi i te artykuły, formę żartobliwą. Podrwiwałem nie z Wyspiańskiego, lecz z jego chwalców zaślepionych i zacietrzewionych w reklamie. Gdybym tak pisał we Francji i po francusku, któryś z ośmieszonych krytyków zdobyłby się zapewne na dowcipne odcięcie, — albo jaki koryfeusz krytyki uczyniłby mi grzeczną uwagę, że

o przedmiocie doniosłym wartoby mówić poważniej. Wywiązałaby się może z tego dyskusja pożyteczna i oświecająca jak wady, tak i duże walory dzieł Wyspiańskiego. — Nietrafnie obliczyłem działanie tonu mych artykułów na poziom dziennikarskiej krytyki warszawskiej.

Pisywałem i o innych autorach. Znajdą się też po pismach artykuły moje publicystyczne. Ale to wszystko zbyt jest przypadkowe i niezszeregowane, abym o całości chciał tu umieszczać jakieś uwagi ogólne.

X.

Skończyłem przypisy do moich utworów drukowanych i mógłbym na tem zamknąć ten pamiętnik, wyczerpawszy jego zamiar główny. Ponieważ jednak dziełko to przeznaczam dla przyjaciół moich książek, nie dla wrogów, pozwolę sobie na parę wyznań poufniejszych, dotyczących pewnych dążeń stałych, a może i manji, które kierowały całą moją działalnością literacką.

Wszystkie moje powieści i nowele układałem równolegle do życia spółczesnego, a nawet do życia, którego własnemi zmysłami doświadczyłem. Nie znaczy to, abym kopjował znane mi osoby żyjące albo nawet obrazy przyrody, owszem przenosiłem, zmieniałem, dociągałem tysiące wzorów do obranego przeze mnie efektu i celu — jak tego przy poprzedniem omawianiu mych utworów podałem przykłady. Ale gdym już miał ustalone w wyobraźni *moje* postacie, sceny i obrazy, gospodarowałem swobodnie w tym światku urojonym, lecz podobnym do prawdy. Im lepiej szło pisanie, tem wyraźniej słyszałem głosy, widziałem ruchy, obejmowa-

łem oczyma architekturę i przyrodę, widziałem, skąd pada światło, jak się barwią bryły bliskie i dalsze, czułem porę dnia, zapachy. — Nie umiałbym powiedzieć, czy to jest metoda pisania przeze mnie od kogoś nabyta, czy mój rodzimy popęd? Zapewne te cechy, u innych autorów zauważone, najbardziej mnie pociągały i powoli, podświadomie poszedłem drogą szkoły realistycznej, dodając od siebie naco mogłem się zdobyć oryginalnego.

Ten mój uporczywy realizm, od którego rzadkie tylko uczyniłem dygresje, sprawił, że nigdy nie złożyłem żywego opowiadania o epoce poprzedzającej moje urodzenie, a nawet dojrzałość. Nie napisałem ani jednej powiastki historycznej. Powieść historyczna opierać się musi na relacjach cudzych, czy to pisanych, czy rysowanych: na kronikach, pamiętnikach, portretach, — jednem słowem: na dokumentach mniej więcej martwych. Obowiązuje w niej do pewnych granic prawda historyczna, a prawdy tej autor nie widział, nie odczuł własnemi zmysłami. Musi ją sam odbudować w wyobraźni, a szereg postaci, choćby nie historycznych, stworzyć na obraz i podobieństwo swoje, lecz nie mając przecie wszechmocy Prastwórcy, musi im dać psychikę nowożytną, poczęści swoją własną, gdyż innej, pomimo studjów i świadectw cudzych, nie może dokładnie pojmować.

Arcydzieła takiej twórczości (mówię, arcydzieła, bo tandeta tego rodzaju łatwiej dochodzi do powodzenia niż marna powieść spółczesna) wymagają dodatkowych uzdolnień, których mi brak. Ale nie próbowałem nawet powieści historycznej, bo jest ona poniekąd przeciwna moim najserdeczniejszym upodobaniom twórczym. Przechadzają się w niej przeważnie tylko „typy" ludzkie przez krainę konwencjonalną, niby cienie po polach Elizejskich. Czasem wielki talent i porywająca swada autora ożywi ten świat cieniów i uczyni go wtedy podobnym do świata naszego, dotykalnego, lecz wrażenie ogólne dzieła pozostaje dla mnie jakby obcem i rozdwojonem: prawda historyczna jest tu zagmatwana przez artyzm, artyzm zaś nieprzekonywający z powodu braku sprawdzianu namacalnej rzeczywistości.

Wiem, że powieść historyczna, zwłaszcza bohaterska, może, jak dawniejsze bohaterskie poematy, obudzić w wielu sercach miłość rzeczy wielkich, — uczucia raczej platoniczne, bez wskazówki, jak ja narazie, w zmienionych okolicznościach, można dzisiaj stosować. — Dobra zaś powieść spółczesna, realistyczna budzi namysł nad życiem żywem, bieżącem, a z tego namysłu urodzić się może odrazu w duszach oddźwięcznych poryw do zbawiennej ewolucji tegoż życia.

Ta jest dla mnie główna ponęta powieści spółczesnej, którą wyłącznie uprawiałem.

Miałem to zawsze na pilnej uwadze, aby książka moja była nie samym tylko popisem sztuki pisarskiej, lecz źródłem pożytecznego prądu. Takie zamiary ukrywałem zwykle starannie w toku opowiadania niby o to nietroskliwego, wiedząc, że wniosek z książki najskuteczniejszy jest ten, który czytelnik sam wymyśli pod sugestją autora. Czytelnicy zaś, choć tak różni i nieprzewidziani mają jedną cechę wspólną: przystępują do dzieła z zakresu literatury pięknej w celu zabawy, nie nauki. Prawie jak dzieciom trzeba im podawać naukę w zabawie, lekarstwo w przysmaku.

Nie wynika stąd przecie, aby naogół czytelnik był osobnikiem słabszym, albo lekkomyślniejszym, niż autor. Zdarza się często stosunek przeciwny. Ale czytelnik, choćby sam posiadał najlepsze zalety, choćby sam był nawet pisarzem, gdy otwiera książkę cudzą t. zw. belletrystyczną, a natrafi na zbyt suchą i przejrzystą dydaktykę, zwraca się do autora z nadąsaniem: „Nie o to przecie umówiliśmy się!"

Jedno tylko stwierdzić można na pewno, że prawdziwy pisarz, nie grafoman, lecz uzdolniony i przemyślany twórca, ma przewagę umysłową i etyczną nad *przeciętnym* czytelnikiem, a czytelników przeciętnych są tłumy. Stąd wynikają obowiązki obywatelskie pisarza.

Pisarz przez wybór tematu, przez samą technikę powieści zasadniczo niepozbawioną podstępu, wywiera na czytelnika coś w rodzaju wpływu magnetycznego: bawi go, straszy, usypia, kołysze — w jakimś przedsięwziętym celu. Otóż te cele autorskie powinny być, według mego przekonania, etyczne i dobroczynne.

Ta zasada mocno tkwiła mi w głowie od lat najwcześniejszych. W jakimś fragmencie pamiętnika z 16-go roku życia (miałem zawsze manję notat pamiętnikowych) odnajduję takie zdanie: „Jeżeli z jednej strony szczytne jest powołanie pisarza (rządzącego duszami rodaków), z innej strony „ciężkie są nauczyciela narodu grzechy" — jak mówi jeden z „Promienistych" (Domejko)". Pamiętam, żem zapisał to zdanie w wagonie kolei żelaznej, powracając z Litwy do Warszawy. Śmiesznie to brzmiało wówczas z powodu mej niedorosłości pod każdym względem, jednak było to pierwsze sformułowanie nakazu, któremu pozostałem wierny. Każdy głośniejszy pisarz — czy zyskał sobie u spółczesnych tytuł nauczyciela, czy nie — jest nim *de facto* gdyż wiele nauk rozsiewa z pismami swemi po świecie. Ile tych nauk zdoła wbić w głowy czytelników? — to sprawa jego talentu, a poczęści powodzenia. Ale bezwzględny ma obowiązek: nie powinien rozsiewać nauk, ani podniet zgubnych dla społeczeństwa.

Ten nakaz miałem zawsze na pamięci, pisząc do druku.

Wiele moich dążeń i zamiarów mógł czytelnik łatwo wyrozumieć z tematów moich powieści. Zwrócę tu uwagę na niektóre ogólniejsze, a mniej rzucające się w oczy.

Upodobanie, które nigdy mnie nie opuszczało, miałem w odtwarzaniu spółczesnych obyczajów i zwyczajów aż do najdrobniejszych szczegółów, gier, zabaw, ubiorów, mody. Sądzę, że powieści, które zachowały dużo tych napozór błahych, lecz charakterystycznych dla epoki rysów, będą miały kiedyś z tego względu dodatkową wartość dla historyków. Właściwa powieść, należąca z rodzaju swego do eposu, nie powinnaby zaniedbywać odtwarzania życia spółczesnego tak wiernie, żeby je mogły zobaczyć, namacać niemal przyszłe pokolenia. Arcywzory epickie, jak Iliada, Odyssea i Pan Tadeusz, pełne są dzisiaj dla nas tego rodzaju dokumentów. Wypadło z wyboru moich tematów, że najwięcej szczegółów obyczajowych zgromadziłem z życia arystokracji i wieśniaków z dworów i chat. Zwłaszcza dokumenty życia polsko-litewskiego w ziemi kowieńskiej, odwzorowane sumiennie, a przesłonięte dzisiaj mgłą ciężką i nieustępliwą, mogą zainteresować kiedyś badaczy przeszłości tamtej krainy.

Najstalsze, najupartsze są moje zabiegi o pewne zalety stylu, na które zapatruję się dość

indywidualnie. Przedewszystkiem unikam nietylko patosu, ale natłoku wyrażeń zbyt wysilonych, stopni najwyższych, epitetów przesadnych, które to cechy czynią styl zbyt niepodobnym do mowy ludzkiej potocznej i — mojem zdaniem — osłabiają zamiast potęgować, działanie tekstu na czytelnika. Gdy pisarz wiąże w szereg same superlatywy, same wyrazy mocne i krzykliwe, łatwo może mu zbraknąć wyrazów jeszcze mocniejszych tam, gdzie koniecznie trzeba ton podnieść, aby chwycić czytelnika za serce, lub przykuć jego uwagę. Przytem proza ciągle targająca nerwy, hucząca bezustannie, jak wicher, nuży mnie i wprowadza w ponurość; nie chcę przeto narażać moich czytelników na podobne wrażenia.

Moim ideałem stylu jest prostota. Trzeba jednak objaśnić ten rzeczownik tak zwyrodniały, że go często używają zamiast wyrazów: naiwność, lub pierwotność. Prostota, *do której dążę*, jest owszem wysokim i trudnym stopniem wysłowienia, do którego dochodzi się po usunięciu tłumu wyrazów zbytecznych. Sądzę, że każda myśl ma swą formę wysłowienia najlepszą, ważącą się gdzieś w przestworzach świadomości, a może i podświadomości pisarza — artysty. Czasem ją pisarz złowi jednym szczęśliwym zamachem pióra, czasem szuka jej długo i mozolnie, zanim znajdzie, — lub nie znajdzie. Otóż te określenia myśli najszczęśliwsze, zadawala-

jące zupełnie autora, a więznące z lubością w mózgach czytelników, przechodzące czasem w stałe cytaty i przysłowia — są zazwyczaj proste, czyli zwięzłe i złożone z wyrazów najodpowiedniejszych. Czytelnik nie zdaje sobie najczęściej sprawy, jak takie zdanie, które go wzięło, zadowoliło i pozostało mu w pamięci, trudne było do znalezienia.

Tok mowy prosty, nazywający rzeczy i pojęcie po imieniu, czyli właściwym wyrazem technicznym lub filozoficznym, jest też najpodatniejszem podłożem do uprawy kwiatów retorycznych w dobrym stylu. Wyraz większy, barwny, nowy, umieszczony w szeregu wyrazów zwykłych, rośnie i barwi się dużo świetniej, niż w potoku słów wyszukanych, z któremi tworzy często nużącą pstrokaciznę. Półtony podniesienia, lub obniżenia stylu dają się odczuć tylko w stylu, który nazywam prostym. Niektóre pospolite wyrazy, oprawne w misternie dobraną grupę innych pospolitych, nabierają niespodziewanych błysków i znaczeń przejmujących. Wreszcie styl prosty ma tę przewagę nad zawiłym i wysilonym, że nie zatrzymuje ciągle uwagi czytelnika nad swoją mniej, lub więcej bajeczną techniką, wprowadza go łatwiej i bez roztargnień w ogólniejsze nastroje, w zupełną wizję obrazów, w szereg myśli przepisanych przez autora — jest więc lepszym przewodnikiem do wyższych celów literatury.

Jeszcze jedną moją manję pragnę objaśnić przez odpowiednią teorję — to poszukiwanie śpiewności, nawet w prozie. Śpiewność ta nie polega na rytmie (chyba w bardzo rzadkich próbach), a broń Boże — na rymie! Ale proza artystyczna ma swoją eufonję, nawet poza granicami fonetyki gramatycznej, której nietrudno się nauczyć z podręczników. Każdy człowiek, piszący starannie po polsku, zauważył chyba, że zdanie złożone z tych samych wyrazów może przyjemniej lub mniej przyjemnie wpadać do ucha, stosownie do układu i następstwa wyrazów. Nie mówiąc już o obowiązku unikania alliteracji, hiatusów i innych dźwięków nieharmonijnych, rzec można, że każdy wyraz ma swój walor fonetyczny, którym operować można dla wydobycia lub zgłuszenia melodji zdania.

Ale ta śpiewność, której niepodobna ustalić, musi być u dobrego pisarza ograniczona przez ścisłość i dobitność wyrażeń; inaczej może zwyrodnieć w t. zw. „zaokrąglone frazesy", lub zgoła w pustą frazeologję. Tych błędów pilnie starałem się unikać. Szukałem w twierdzeniach ścisłości filozoficznej, w porównaniach łatwo namacalnego *tertium comparationis*, w nazywaniach — wyrazu technicznego. Od zbytniego rozśpiewania, a właściwiej: od rozpaplania myśli chronił mnie silny kult zwięzłości, nabyty może od pisarzy łacińskich, których wysoko cenię. Gdy poprawiam swoje bruljony,

zawsze je skracam, odrzucając zabłąkane pleonazmy, tautologje i wyrazy nic nie dodające do istotnej treści zdania.

Chociaż przedstawiam tylko swoje dążenia, pomijam zaś regularną ocenę wyników osiągniętych, spostrzegam, że wymieniam same dążenia chwalebne. Nie było mi to celem pamiętnika, jednak wynikło naturalnie z zamiaru wystąpienia przed publicznością, którego nikt chyba nie poweźmie, aby się przedstawić w złem świetle.

Porzucam już uwagi dotyczące bezpośrednio moich dążeń i sposobów pisarskich i daję na zakończenie kilka kart treści odmiennej.

Wspomniałem w pierwszych zdaniach tego pamiętnika, żem się zapisał do cechu literatów w r. 1891. Jest to nieścisłe, nawet jako przenośnia. Właściwie nigdy nie należałem do cechu literatów — i to wpłynęło stanowczo na charakter mojej produkcji literackiej. Pomijając już to, com wyznał uprzednio, że nikt mnie nie wychowywał na pisarza, żem aż do męskiego wieku prawie nie obcował z kolegami po piórze, dodam, że nie czułem potrzeby zajęcia miejsca w tak, lub owak zorganizowanem gronie spółczesnych literatów. Nie należałem do stowarzyszeń zawodowych, nie chodziłem ścieżkami stratowanemi przez Pegaza; nie trafiłem naprzykład ani razu na nowożytny Helikon pol-

ski — do Zakopanego. Pomimo szczerej czci i serdecznej sympatji dla dzieł niektórych pisarzy polskich mojej epoki, długo nie szukałem okazji osobistego ich poznania, spotykałem ich tylko przygodnie.

Dopiero, gdym się stanowczo zabrał do pisania prozą, pozyskałem nieocenionego, wyjątkowego powiernika w osobie Dionizego Henkiela. Henkiel, za młodu poeta ze szkoły Krasińskiego, później silny publicysta, ale tak mało ambitny dla siebie, że nigdy artykułów swych nazwiskiem własnem nie podpisał, posiadał jeden talent, którego u nikogo w tym stopniu nie dostrzegłem: talent inspiratora. Interesował się cudzemi zdolnościami i pomysłami dużo bardziej, niż własnemi; brał je do serca, rozgrzewał, ośmielał, rozzuchwalał; następnie wysłuchiwał cudzych projektów, bruljonów, przeróbek i ostatecznie obrobionych utworów nietylko cierpliwie, lecz ze szczerem zajęciem. Nie narzucał nigdy konkretnych poprawek, czyli swoich zdań, lub wyrazów, lecz przeczytane rozdziały chwalił, albo ganił wymową swą rwaną, malarską, pełną świateł i barw, a ciętego dowcipu. Naglił do dociągania wysłuchanego tekstu do wzorów najwyższych, a będąc znakomitym znawcą literatury polskiej i obcej, miał zawsze w pamięci te wzory do przytoczenia gotowe. Skromna izdebka Henkiela, z której rzadko wychodził, dobrze była znana pisarzom polskim; nawet

Sienkiewicz przychodził tam po aprobatę wielkiego Polaka i przedziwnego krytyka — altruisty. Ale ja chyba najwięcej zawdzięczam mu korzyści z rady, podniety do pisania i pokrzepienia ducha.

Dionizy Henkiel był jedynym literatem z którym mówiłem wyczerpująco o swoich utworach w czasie pisania i po ukończeniu. Oprócz tych rozmów i wcześniejszych młodzieńczych wymian projektów i zapałów z Konstantym Górskim, nie pamiętam żadnych podobnych. Stąd wynika, że nie szukałem naogół porozumień z literatami, a tem bardziej jakiegoś skoordynowania naszych produkcyj. Że zaś przez długie lata nie spotykałem literatów, niektórych nie poznałem osobiście dotychczas, inni poumierali, zanim ich poznałem, jak np. Orzeszkowa i Konopnicka, znajome mi tylko z dzieł i z kilku listów. To oddalenie od świata literackiego miało dla mnie i ujemne skutki, o których wspomnę poniżej.

Chociaż literaci, gdy się spotykają często i przyjaźnią, nie umawiają się przecie w ten sposób: teraz ja napiszę to, a ty tamto, a potem obaj, lub w większem gronie, będziemy uprawiali ten a ten rodzaj, lub poprzemy taką a taką sprawę; owszem, każdy większy pisarz kroczy drogą własną, ma indywidualny swój wybór tematów, stylu i sposobów pisarskich — przecie współżycie osobników zawodowo po-

krewnych wytwarza pewne wspólne zabarwienia, a nawet kierunki charakterystyczne dla epoki.

Ponieważ nie miałem stosunków z grupami literackiemi, moja produkcja piśmiennicza nie była od nich zależna chyba w bardzo nieznacznej i nieświadomej mierze. Moje książki wynikały bezpośrednio z moich przeżyć osobistych, nie zaś z atmosfery literackiej epoki. Jest w nich moje życie odbite bynajmniej nie chronologicznie, bez kroniki faktów, lecz wiernie co do wrażeń i przemyśleń. Miałem wprawdzie niektóre plany wyrozumowane i zakrojone na lata pracy, jak zamiar odrysowania „wielkiego świata", wykonany w trzech pierwszych powieściach, lub plan opisu polskiej Litwy, który też wypełnił trzy tomy. Ale te plany porządkowały tylko wielkie odłamy mego wewnętrznego życia, bogate zapasy doświadczeń i wrażeń. Wszystkie prawie swoje utwory nosiłem w formie projektów przez długie lata, czasem przez lat dziesiątki, poczem przychodził ich czas złożenia się w dzieło spisane w terminie nieobliczalnym. Nie umiem np. objaśnić, dlaczego temat „Sobola i panny" pożądany przeze mnie od lat uniwersyteckich, skrystalizował się dopiero w pięćdziesiątym roku mego życia?

Jeżeli od grup i stowarzyszeń literackich stroniłem raczej przypadkowo, z powodu, że mnie życie nosiło gdzie indziej, to z zupełną

świadomością broniłem się od naśladowania któregokolwiek z pisarzy mojej epoki. Zdaje mi się, że „Żywot Podfilipskiego", „Hetmani", „Soból i panna" nie mają wzorów w literaturze polskiej. Jeżeli więc od kogoś duchowo „pochodzę" — jak to pisywano w dawniejszych krytykach — to mam tylko pradziadów, lecz nie ojców.

Odosobnienie moje od spółczesnych literatów pozbawiło mnie pewnych doczesnych korzyści, zależnych od zażyłości zwłaszcza z tym gatunkiem literatów, którzy po zbankrutowaniu na twórczości, zajmują się krytyką. Na szczęście są u nas i inni pisarze, uprawiający krytykę zawodowo i z zamiłowaniem; jednak tych zbankrutowanych jest znacznie więcej, a ich pozyskanie nie jest dla pisarza twórczego bez pożytku. Otaczają oni mocniejszych pisarzy, wytwarzają atmosferę admiracyjną i reklamę; piszą o nich często, powtarzając nazwiska mistrza przy każdej sposobności, nie szczędząc najzaszczytniejszych epitetów. Oczywiście nająć takich panów do admiracji nie można (przynajmniej o takich nie słyszałem), ale trzeba się postarać o ich względy. Otóż ja nie starałem się nigdy nawet o znajomość. To zaniedbanie zmniejszyło rozgłos moich książek doraźny. Chociaż bowiem zdanie tych dziennikarskich trębaczy i wzmiankarzy mały ma wogóle posłuch, jednak ciągłe powtarzanie nazwi-

ska pisarza wbija je w głowy mas czytających i osadza w pospolitych umysłach pewien namuł admiracyjny, który może znowu pobudzić ciekawość innych — słowem: szerzy reklamę.

Nigdy nie starałem się o reklamę swoich książek, jednak nie zaprzeczam, że rozgłos i szerokie rozpowszechnienie były mi przyjemne. Tylko ten skutek mojej działalności literackiej stawiałem na dalekim planie, nie poświęcałem dla niego dążeń do wyższych wyników. Niektóre nawet moje dążenia ideowe były wręcz przeciwne szerokiej i niewybrednej popularności, jak np. przeciwdziałanie machinacjom żydowskim w Polsce. Obowiązków swych obywatelskich i sumienności badań nie poświęcałem dla rozszerzenia o sobie byle jakiego rozgłosu. Ale niepotrzebnie zaniedbałem stosunki osobiste z szerokiemi kołami kolegów po piórze, pośród których znalazłbym z pewnością wielu ideowych krewnych i przyjaciół.

Miałem i mam przyjaciół między wybitnymi pisarzami, jednak te zbliżenia wynikły z przypadku, nie z zasadniczych planów jakiejś kooperacji z literatami. Nawykły do chodzenia luzem, spotykałem się też bardzo rzadko z młodszem pokoleniem pisarzy, chyba z tymi, którzy mi przynosili swe pierwsze utwory do oceny. Żałuję dzisiaj zbytniej abstynencji od współżycia z kolegami, a na naprawę tego błędu już za późno.

Naogół krytyka literacka była dla mnie łaskawa. Zwłaszcza za „Podfilipskiego" osypała mnie pochwałami i okazała gorące zainteresowanie się moją książką. Następnie zmieniał się stopniowo stosunek krytyków do mnie; poważni krytycy zajmowali się nadal, subtelnie i przyjaźnie, roztrząsaniem pism moich, ale ci, bardzo liczni, których nazwałem trębaczami dziennikarskimi, znacznie przycichli. Przypisuję tę zmianę mym zaniedbaniom towarzyskim względem szerszych mas literatów. Aż nastała trzecia faza stosunku krytyki do mnie od czasu, kiedym zaczął chłostać Żydów. Wtedy utraciłem łaski nietylko drobnych, głośnych przez swą liczbę pisarczyków, lecz i całego odłamu krytyki lewicowej, która aż do dnia dzisiejszego trzyma się zasady nietykalności Żydów. Zauważyłem nawet z żalem oziębienie do moich utworów u prawdziwych krytyków. — Wytłumaczyćby to można przez przypuszczenie, że moja produkcja literacka traciła stopniowo swe zalety i przestawała zajmować umysły spółczesnych...? Ale na to zgodzić się nie mogę. Zatem fakt, że o „Sobolu i pannie" napisano kilkakroć razy mniej, niż o „Podfilipskim", a o „Hetmanach" odezwało się zaledwie paru odważnych przyjaciół i syknęło kilku Żydów — ten fakt rzuca raczej światło na charakter ogólny krytyki polskiej, niż jest sprawdzianem moich powodzeń w uprawie niwy literackiej.

Inny sprawdzian nagradzał mi trudy literackie, — zresztą miłe same przez się — i zachęcał do dawania rodakom dzieł szczerych, nie przyrządzonych do smaku koterji lub partji. To głosy czytelników, których zasadnie mogę nazwać kochanymi. W trakcie pisania nie widziałem przed sobą uosobionego czytelnika, będąc pochłonięty przez wysiłek wykonania zamiaru pisarskiego według mego pojęcia. Ale po napisaniu książki wiedziałem; to a to trafi do serca gorącym Polakom; tamto zadowoli smak wytrawnego estety; jedno pobudzi zapał, drugie skłoni do takiego, jakiego pragnę, namysłu; z tego będzie zabawa, z tamtego pożytek. Zgóry wyobrażałem sobie, jak taka książka — taki rozdział — takie nawet pojedyńcze zdanie — zostaną przyjęte przez odpowiednio oddźwięcznych czytelników — i rzadko myliłem się w przewidywaniach.

Oczywiście „czytelnik" jest pojęciem ogromnem i słabo określonem; zawiera najbliższych przyjaciół i ludzi nieznajomych; obejmuje najtęższe umysły i prostaczków; jednak nie może być utożsamiony z pojęciem „tłum", odpowiada raczej w tym porządku myślenia pojęciu „ojczyzna". Ta ogromna osoba zbiorowa ma swą indywidualność, swe serce i zdanie, które dają się wysłuchać. Zwykłe manifestacje wrażeń czytelników w rozmowach, w listach, w druku — bo przecie recenzenci są też czytelnikami

i niepoślednimi — nie wyczerpują bynajmniej świadectw powodzenia książki. Są inne jeszcze porozumienia autora z czytelnikami, wyrażane przez sympatyczne prądy. Czytelnik polski jest naogół lotny, domyślny, przytem wdzięczny pisarzowi, którego polubi, i okazujący mu swe uczucia przez tysiączne względy. Należy mu się nawzajem wdzięczność od autora głównie za to pokrzepiające wrażenie, że nietylko na wiatr rzuca słowa. I ten Pamiętnik dedykuję przedewszystkiem mym wypróbowanym przyjaciołom

Czytelnikom.

DODATKI

Następujące tu artykuły wiążą się treścią z „Pamiętnikiem", a mianowicie:

1° „Berlin" i 2° „Rozmowa sąsiedzka" — pisane w Berlinie, podczas gdy zbierałem materjały do „Hetmanów".

3° „O wartości społecznej literatury pięknej" — rozwija teorję parokrotnie w „Pamiętniku" naszkicowaną.

4° „Muzyka wiersza Słowackiego" — artykuł pokrewny z memi teorjami o stylu.

5° „Cześć pamięci Dionizego Henkiela" — dopełnia portret znakomitego Polaka często w toku „Pamiętnika" wspominanego.

Berlin.

Błąkają się po świecie duże słowa, które mało znaczą, bo określają zbyt krótkim dźwiękiem pojęcia zbyt ogromne. Tak są jednak ciągle każdemu potrzebne, że codzienny mają obieg. Do rzędu takich dużych słów, będących na wszystkich ustach i na wszystkich szyldach, należy — cywilizacja. Cokolwiek się mówi głośno, cokolwiek się czyni nazewnątrz i wystawia na pokaz, nosić ma w sobie sok, lub na sobie pokost cywilizacji. Że jednak wyroby i słowa i czyny są nietylko bardzo różne, ale często między sobą sprzeczne, ogólne ich uzasadnienie przez wymagania cywilizacji albo jest nieautentyczne, albo sama cywilizacja byłaby tylko urzędowym pozorem, którym się osłaniają dla przyzwoitości różne dążenia mniej idealne.

Za dzisiejszego panowania pięści i pieniądza możnaby zapomnieć, że cywilizacja nasza, ze wszystkiemi swemi ułomnościami, wyrosła jednak z zasady miłości chrześcijańskiej, stosowanej do osób i ogółu, że się tą zasadą karmiła przez wiele wieków, że z niej czerpała powagę i siłę.

Gdyby ktoś, nieświadomy dziejów przeszłych, ani bieżących, przypłynął na oderwanej od nieznanych lądów skale, jak Wolterowy „Ingénu", do starej Europy i chciał sens wyciągnąć z tego, co się dzieje za dni naszych, do różnych ciekawych mógłby dojść wniosków, ale nigdy do tego, że w tych krajach, zakażonych kapitalizmem i nędzą, u tych rządów drapieżnych, a przecie trwających, miano niegdyś w poszanowaniu zasadę: kochaj bliźniego swego. A gdyby mu kto powiedział, że to jest właśnie paragrafem pierwszym naszej cywilizacji, odrzekłby zapewne:

— Nie drwijcie z cudzoziemca.

Wobec upodlenia pojęcia trzebaby i wyraz odpowiednio zdegradować i nazywać cywilizacją raczej ewolucję pojęć społecznych, bez względu na etykę, okładkę towaru wyrabianego obecnie, bez względu na jego wartość.

Mówię o tem, na co patrzę, a patrzę od dłuższego już czasu na Berlin, co do liczby mieszkańców trzecie miasto w Europie, nader potężne i typowe dla charakterystyki ewolucji pruskich pojęć i zwyczajów. Bardziej może, niż Paryż Francję, streszcza Berlin wartość ekonomiczną i kulturalną Prus, a choćby jakiś mieszkaniec Hamburga chciał się o to spierać, przyzna jednak, że do Berlina znoszą Prusacy „swych myśli przędzę i swych... interesów kwiaty", a zarazem najpiękniejsze szynki i naj-

lepsze piwo, że tu się głównie skupia pruska wielkość i zasobność.

Zbyt blisko od nas leży Berlin, za dobrze go znamy, choćby ze stosunków handlowych, aby opis Berlina w rodzaju jakiejś starożytnej podróży Coxe'a, malujący miasto zewnątrz i notujący curiosa w miejscowych zwyczajach, mógł zająć czytelników. Wie każdy, że Berlin rośnie jak na drożdżach, że jest ruchliwy, pozbawiony smaku, ale zato pracowity i rzekomo pełen cnót społecznych i rodzinnych. Zaciekawiać może to tylko, co w ostatniej dobie wzrasta, a co się chyli do upadku, co się i w jakim kierunku przekształca.

Otóż, na wszystkich punktach stycznych z życiem tutejszem, uderza najprzód cudzoziemca coś, co można uogólnić: niezmierny wzrost pychy narodowej.

A jest to pycha nieco odmienna od podobnych uczuć innych narodów, choćby dlatego, że trudniej ją historycznie uzasadnić. Zarozumiałość Francuza, Anglika, Włocha nie tak drażnią cudzoziemca, jak odętość pruskiego oficera albo dyrektora banku. Kto dłuższy czas przebył we Francji, nabiera jednak przekonania, że historja, jeżeli nie polityczna, to historja pojęć i zwyczajów europejskich toczy się dotychczas i przekształca głównie w Paryżu. Kto znowu wniknął głębiej w historję sztuki, przy-

zna Włochowi spółczesnemu, choć zwyrodniałemu, prawo chełpienia się z tego, że jego ojcowie byli zarazem ojcami całej sztuki europejskiej. I pogardliwy uśmiech Francuza, fanfaronada Włocha jakoś im lepiej stosują się do twarzy, niż ta nieznośna pycha, tak nieautentycznie odymająca postacie lejtnantów i bankierów.

Natura ludzka instynktowo szanuje prawdę i tradycję, więc i duma starego narodu mniej ją razi, niż pycha politycznego dorobkiewicza. Że Prusacy do tej ostatniej należą kategorji, nie potrzeba dowodzić. Ale tutaj uderza znowu rys charakterystyczny Prusaka przy zestawieniu go z innym krajowcem.

Jeżeli mówić o karjerach różnych narodów w ostatnich wiekach, niewątpliwie do porównania z pruską jest karjera Rosji. Zamknijmy chwilowo oczy na triumf Prus w r. 1870 i ostatnią porażkę Rosji. Obie te rewolucje niewiadomo jeszcze jak się na losach obu państw odbiją, bo Prusy, obok laurów, gromadzą też zewsząd niebezpieczny plon nienawiści, a Rosji krwawe wstrząśnienie wyjść jeszcze może na pożytek. Pominąwszy te dwa, choć tak doniosłe wypadki, Rosja może co najmniej równie być dumna, jak Prusy, ze wzrostu swej potęgi i znaczenia przez wiek 19-ty. A jednak Rosjanin, wzięty naogół, nie urzędnik starej szkoły,

„bizantyńskie malowidło, które tylko co, zdawałoby się, uciekło z cyprysowej deski, żeby pohulać sobie luzem"[1]), ale Rosjanin u siebie, w radzie i zabawie, w polityce i literaturze, nie odznacza się bynajmniej śmieszną zarozumiałością. Owszem, często polityk kaja się i bije w piersi, a pisarze chłoszczą nieraz swych ziomków tak dobrze, że żaden obcokrajowiec im nie dorówna.

Nic podobnego w Prusaku. Ten jest pyszny ze wszystkiego, co czyni osobiście, czy zbiorowo, ze swego obyczaju i z polityki, i nie pozwala nawet „swoim ludziom" powątpiewać o przedniości rasy, o jej wyjątkowych zaletach i powołaniach. Dość przypomnieć, że Heine „nie śmie" (darf nicht) stanąć w śpiżu pośmiertnym na pruskiej ziemi, bo śmiał niegdyś za lekko się wyrażać o pruskich regentach i osobliwościach. Nawet niedawno jeden z tutejszych profesorów dowodził, że właściwie, chcąc być sumiennym badaczem literatury, trzeba przyznać, że Heine... niezupełnie dobrze pisał po niemiecku. Nie będę poprawiał pana profesora, ale mi się zdaje, że raczej Heine nie umiał mówić po prusku.

Tu właśnie dotykam „wady pancerza", który tak wspaniale ubiera wielkość Prus dzisiejszych. Pancerz jest pożyczony.

---

[1]) Szczedrin — Sałtyków.

Prusy, upojone swem nowem „powołaniem" od lat trzydziestu kilku, zagarnąwszy, nie ku ogólnemu zadowoleniu Rzeszy, stanowisko hegemoniczne, stroją się w szaty staroniemieckie, mienią się głównymi spadkobiercami chwały i kultury Niemiec. Tymczasem są tylko państwem Rzeszy etnograficznie napół germańskiem, a w historji świata zajmującem miejsce pośledniejsze, bo różnych „wielkich", którzy stworzyli monarchję brandenbursko - pruską, trudno poczytywać za dobrodziejów ludzkości, a nawet Niemiec.

Zarówno jak pochodzenie, temperament tej rasy północnej i mieszanej, jej ideały społeczne bardzo się różnią od cech odpowiednich dawnego państwa niemieckiego. Powiedzieć nawet można, że od czasu hegemonji Prus barwa niemiecka naogół spodlała. Nie pozostało chyba nic z podniosłego idealizmu, który przewodniczył filozofji, poezji, a nawet niekiedy i polityce niemieckiej, jeszcze do połowy 19-go wieku. Militarno-kupieckie państwo pruskie owładnęło „duszą niemiecką" i wyzyskało ją dla swoich celów; zrobiło na tej operacji kapitalny interes. Utył naród, urósł też jego żołądek — Berlin.

Publiczność tutejsza rozumie i pochwala ten interes; uznaje pożytek idei pangermańskiej, która, jak wszystkie panrasowe idee polityczne, wynaleziona jest dla utuczenia narodu silniej-

szego kosztem podupadłych krewnych. To też okrzyki pangermańskie nie ustają w Berlinie. Każda gazeta, każdy teatrzyk rozbrzmiewa tą nutą, a publiczność wtóruje chórem, upaja się tą celową muzyką. W pysznej atmosferze triumfalnej z bębnami i trąbami na cześć odrodzonych Niemiec, maszeruje sobie berlińczyk każdy do swego kwitnącego interesu.

Maszeruje i Żyd, wtórując także pangermańskiej pieśni, a nawet podąża tak raźnie, że zaczynają się krajowcy niepokoić, Żyd jest bowiem wszędzie: w banku, w sklepie, w dzienniku, a ponieważ ma pieniądze, zajmuje też połowę ulicy, restauracji, teatru. Nigdzie na świecie nie widać tylu semickich typów na wierzchu i w pierwszych rzędach, jak w Berlinie. Proletarjatu zaś nie widać wcale. Żydzi tutejsi należą bezwątpienia do wierzchniej warstwy społeczeństwa i do klasy prowadzącej. W dążeniach swoich godzą się widocznie dobrze z autochtonami, bo prosperują obok nich i z nimi pospołu.

Z wielkiego udziału rasy żydowskiej w życiu Berlina można wyprowadzić niektóre wnioski. Ponieważ praca tu wre i grzmi i przynosi owoce, musi więc się opierać na dobrej organizacji ogólnej i na zaletach indywiduów. Rodzimy Prusak, wymusztrowany i pedantyczny, a nie Żyd nerwowy i rzutki, wniósł do pracy tutejszej swój zmysł porządku i ładu, widoczny wszędzie,

w urządzeniach publicznych i w życiu prywatnem.

Nic tu niema dowolnie naszkicowanego, wszystko jest urządzone. Ulica jest czystsza i lepiej brukowana, niż w Paryżu; pociągi kolei parowej i elektrycznej na swej bajecznie krzyżowanej sieci kursują z wzorową regularnością; a każdy obywatel, czy członek jakiejś instytucji, lub przedsiębiorstwa, czy poprostu członek swej rodziny, ma ściśle ograniczone godziny pracy, których nie skraca, ani nie przedłuża bez wyjątkowej potrzeby. Każdy, mężczyzna czy kobieta, ma swój fach, swoje określone zajęcie, a wszystkie czynności indywidualne układają się dziwnie łatwo w całość i w porządek zbiorowy. Poszanowanie ładu jest tu wrodzone, niemal odruchowe. Wybitna ta zaleta, czysto pruska, przemogła widocznie inne usposobienie Żydów współdziałających, bo i ci są czyści, porządni i sforni zadziwiająco, zwłaszcza gdy się przywykło do naszych typów żydowskich.

Żydzi zaś wnieśli do zbiorowej pracy tutejszej swą przyrodzoną pomysłowość, ale zarazem i chciwość. Może nauczyli Prusaka chciwości, może tylko zgodzili się w instynktach z rasą miejscową, dość, że nigdzie chyba w Europie tak wszystko nie bywa obliczane na pieniądze, jak w Berlinie. Filozofja utylitarna, skrajnie materjalistyczna, jest tu bez zastrzeżeń utożsamiona z życiową mądrością. Geszeft

(niech mi wolno będzie pożyczyć od niemieckiej mowy tego wstrętnego wyrazu), geszeft narodowy i prywatny jest bezczelnie ukochany i czczony, jako główny cel życia.

Wzrost gorączki zysku zgłuszył pono i legendarną pruską uczciwość w stosunkach pieniężnych. Uczciwość np. tutejszych kupców i rzemieślników zgodna jest bardziej z arytmetyką i z kodeksem, niż z etyką. Kupiec nie wstydzi się bynajmniej cenić towaru, jak się da, stosownie do osoby kupującego, odstępować po targu ćwierć i więcej z ceny; a w niezliczonej ilości bazarów po cenie stałej zły gatunek towaru nagradza sowicie jego taniość — oczywiście nie kupującemu. Rzemieślnik oblicza wartość wykonanej roboty na godziny, które mu zajęła, licząc godzinę po znanej i umówionej cenie. Ale niech Bóg broni cudzoziemca od wejścia w taki układ, lub od polegania na tym rachunku! Wypadają sumy niespodziewane; jakieś 52¾ godziny po marce za wynik, który na oko wart 10 marek, albo wymagania zapłaty za godziny zwłoki i przeróbek, pochodzących z winy robotnika.

Jednem słowem, tak tu dobrze umieją się ludzie nawzajem oszukiwać zapomocą ścisłej matematyki, jak gdzie indziej przez dosypywanie trocin do paczek z herbatą, lub przez wyłudzanie pieniędzy na nieistniejące przedsiębiorstwa. Można zresztą znaleźć w odpowiednich rubry-

kach gazet miejscowych wszelkie gatunki wykroczeń przeciw siódmemu Bożemu przykazaniu. Zatem „bojaźń Boża" państwowa musi zasadzać się na czem innem? Poszukajmy jej gdzie indziej.

Obyczaje pruskie były do niedawna zdrowe i normalne. Brudy ujawnione przez procesy karne w sferze junkrów i gwardji mogą być specjalnością tych koteryj. Nie chcę rozciągać ich znaczenia na cały naród. Rodzina berlińska, na różnych szczeblach towarzyskich, przechowuje podobno cnoty tradycyjne, co zdaje się być głównie zapewnione przez zwyczaj, że kobieta, czy żona szewca, czy generałowa, przykłada zawsze ręki do gospodarstwa domowego i nie na żarty pracuje. Ale rozejrzenie się po ulicy, po restauracji, po miejscach wieczornej zabawy doprowadza do wniosku, że rozwiązłość i rozpusta nietylko Berlińczyka nie rażą, lecz zdają się należeć niejako do jego praw i prerogatyw obywatelskich.

Pomimo wrogich uczuć dla Francji, Berlińczyk nie może się obronić od podziwiania jej i naśladuje niezgrabnie powierzchowne cechy paryskiego życia. Gdy odpoczywa od swych zajęć giełdowo-militarnych, które są jego ojczyzną, chce koniecznie być wytwornym i nawet lekkomyślnym Europejczykiem, a zawsze na wzór Francuza. Zabawa Berlińczyka, przeważnie nocna i dalej w noc posunięta, niż w ja-

kiejkolwiek stolicy, jest szeregiem kopij i karykatur z życia paryskiego. Przeróżne kasyna i kabarety zaczynają funkcjonować o północy, a pozostają otwarte aż do rana. Do wielu z nich chodzą mężowie z żonami i rodzice z córkami, choć z estrad i scenek rozbrzmiewają piosenki nietylko dwuznaczne, ale czasem rażąco trywjalne. Trzeba także wiedzieć, że pewne zakazy policyjno-moralne osiągają tu skutek pozornie przeciwny. Śródmieście od godziny jedenastej do późnej nocy jest jednem wielkiem targowiskiem między obu połowami rodzaju ludzkiego, tutaj jeszcze mniej powabnem, niż gdzie indziej, gdyż nigdzie płeć piękna tak źle nie nosi swego nazwiska. A i miejsca publicznej zabawy, choć tak ściśle kontrolowane przez policję, odznaczają się niepospolitem rozpasaniem. Na dowód obrazek prawdziwy knajpy nocnej, zwanej „Meierei", otwartej na ulicę w samym środku Berlina.

Myślałby kto, że „Meierei" jest mleczarnią? Niby — ale i właściciel zakładu nazywa się Meier. Po zadowoleniu, wynikającem z tego dowcipu, oczekuje wchodzącego gościa inna niespodzianka: wita go wrzawa chóralna grubjańskich przezwisk. Różne figury, pełniące jednocześnie obowiązki artystów i kelnerów, ściskają go za ręce i mówią mu „ty".

Ça nous connait. Kopja jednej budy na paryskiem Montmartre, gdzie właściciel „wiel-

ki poeta Aleksander", podobnie przyjmuje wchodzących. Ale tam przynajmniej bratasz się poniewolnie z podupadłym, jednak bardzo wygadanym i dowcipnym literatem. Tutaj ci „panowie" zdają się przeciwnie od stanu kelnerskiego zdążać z małem powodzeniem ku literaturze. Jeden coś śpiewa, drugi tańczy. Lokal urządzony, jak obora, nie brak żłobów, krów wypchanych, zedli i różnych siłących się na dowcip parodyj. Towarzystwo męskie średnie, są i panowie we frakach; kobiety te same, które się roją na ulicy. — Jużby można stąd wyjść, ale właśnie dzwonek ogłasza zabawę kulminacyjną: kazanie! To coś ciekawego. Jeden z personelu, gruby „Dichter" (a więc jest i poeta Aleksander!) przebrany karykaturalnie za pastora, prowadzi zebranych do przyległej piwnicy. Tam, wtoczywszy się na ambonę, nakłada potworne okulary na bezecną facjatę i zaczyna perorę sposobem inkantacji, naśladując wymowę protestanckiego duchowieństwa. Kazanie na dzień dzisiejszy jest na temat: o niezgłębionej głupocie ludzkiej. Histrjon trzyma długą trzcinę, którą wskazuje według potrzeby różne przedmioty zawieszone u niskiego stropu piwnicy, stanowiące niby muzeum tej głupoty. Sypią się koncepty nawet niezgorsze, ale pozbawione najpierwotniejszej przyzwoitości. Jest to znowu francuski rodzaj przeglądu (une revue) wypadków politycznych i bieżącego skan-

dalu, zastosowany do mniej wybrednego smaku berlińskiej publiczności. Gdy się ten numer kończy, w sali głównej, czyli w oborze, trwa dalej karczemna pijatyka. U wyjścia zatrzymała mnie jeszcze jedna scena, dobry finał tej wycieczki.

Pośród rozpasanej hałastry, między stołami przewija się dziewczyna, prawie dziecko, w stroju niby klasztornym, w kapturku. W jednej ręce trzyma skarbonkę, drugą żebrze i podaje numery jakiejś gazetki. Poznaję niebawem, że jest to propaganda „armji zbawienia". Ale tu, gdzie o moralności mowy być nie może, dla kogo się zjawia ten protestancki anioł? Nie dla stałych uczestników i przedsiębiorców tej zabawy. Więc chyba dla tych, którzy przypadkiem tu zabłądzili? Ci ostatni jednak, bez namowy anioła, uciekają stąd pośpiesznie na świeższe powietrze. Dziewczyna z przymkniętemi powiekami, z zastygłym uśmiechem, odbywa swą wędrówkę, traktowana przez towarzystwo poufale, jak dobra znajoma, a gdy jaki pieniądz padnie do skarbonki, pijana hałastra odzywa się chórem przygotowanej na ten wypadek pieśni:

Schon wieder eine Seele
Gerette-te-te, te-te, te-te...[1])

[1]) I znowu jedna dusza.
Do nieba sobie rusza.

Przypuśćmy, że jedna znajduje się taka knajpa w Berlinie. Ale i ta wystarcza za okaz, do jakiego poziomu niżej zera spada tu moralność publiczna.

Kopje z francuskich wzorów przystosowane do miejscowych wymagań, sięgają daleko poza granice kabaretu lub teatrzyku. Długoby można mówić o naśladowaniach sztuki francuskiej w Berlinie od „Sans-souci" Fryderyka II-go aż do dnia dzisiajszego. Weźmy dla przykładu architekturę, w której powraca się perjodycznie do francuskiego typu.

Berlin, mniej więcej od epoki awansowania na stolicę państwa niemieckiego, usiłuje stworzyć własne budownictwo. Ale usiłowania te wydały owoce — śmiało rzec można — potworne. Na budowy monumentalne, jak „Siegesallee", nowy gmach parlamentu, ohydny pomnik Wilhelma I, nie warto już narzekać, choćby z tego powodu, że dużo cięższe przejścia czekają mieszkańca, któremu droga wypada codzienna naprzykład przez „Kurfürstendamm", trzy kilometry linji prostej, zabudowane w stylu nowoberlińskim! Tu wieje ponury strach na przechodnia od wiszących nad chodnikami narośli, zwanych „erker'ami", od maszkar, wyszczerzonych z obramień, od bezładnego niepokoju linij ogólnych i bezsensowości szczegółów.

Tu najjaskrawiej bije w oczy złe zrozumienie sztuki staroniemieckiej, której berlińczyk mieni się spadkobiercą. Naprzykład rycinę Dürera, powiększoną sto tysięcy razy, rozpiąć na całym froncie kamienicy w kopji malowanej, albo płasko wyrobionej z gipsu! Niema co długo o tem gadać; jest to poprostu artystyczne pomieszanie zmysłów.

Ale widocznie tylko dalsze od śródmieścia ulice wydane są na pastwę tych eksperymentów. Komisja budowlana ma jednak pieczę nad starszym i piękniejszym Berlinem. Bo jest i taki. Ulica „pod Lipami" ma na jednym końcu niektóre dobre gmachy zamku królewskiego, na drugim bardzo ładny „plac Paryski". Jest to miejsce, gdzie oko odpoczywa i ma złudzenie Paryża. Okalające budynki, między niemi gmach ambasady francuskiej, wszystkie szlachetne w linjach, umiarkowane w barwach, a i brama Brandenburska poważna, wielkomiejska. Otóż zdarzyło się w przeszłym roku, że trzeba było dopełnić jakąś budową jeden róg tego Paryskiego placu. Jakiś duch dobroczynny ochronił to miejsce od nowo-berlińskich pomysłów. Żadnych erker'ów, ani dachów pośrednich między kopułą, wieżą i strzałą, ani malowideł „Dürerowskich", ani bram w kształcie przekrojonej dyni. Stanął gładki, jasny hotel „Adlon" z francuskim dachem, z dwoma balkonami wzdłuż całych pięter: jednym cięższym,

kamiennym przy pierwszem, drugim lekkim, z kutego żelaza przy najwyższem piętrze. Linje dostosowano do ogólnego efektu, i gmach działa na widza, jak piękne indywiduum — harmonją, nie zaś jak kaleka — garbem, albo czupiradło — strojem.

W krótkiem sprawozdaniu trudno mi przeprowadzić czytelnika choćby przez główne miejsca, gdzie nowożytną sztukę berlińską wystawiają na pokaz. Ogólnie tylko zauważyć można, że sztuka plastyczna tu nie kwitnie, albo ogranicza się do usiłowań, po których nic dobrego na przyszłość wywróżyć nie można. Jeżeli co się czasem udaje, to jakieś zastosowanie sztuki do przemysłu. W malarstwie widoczne są wpływy szkoły monachijskiej, niezbyt fortunne; w rzeźbie i ornamentyce panuje bezład naśladowniczy starych modeli i najnowszej „secesji".

Sztuką stosowaną do polityki możnaby nazwać odtwarzanie najrozmaitszą techniką portretu panującego monarchy. O nadzwyczajnem rozpowszechnieniu tego portretu przemilczeć nie można, gdy się opisuje Berlin, jest ono bowiem wyrazem ogólnego uczucia, niemal panującej religji.

Cześć ta da się tylko porównać do kultu Ateny w starożytnych Atenach. Jak tam uosabiano wszystkie siły dobroczynne, wszystkie chluby i zaszczyty miasta w odpowiednich po-

staciach bogini-patronki; jak tam stawiano na Akropolu posągi Atenie-Dziewicy, Atenie-Przewodniczce, Uzdrowicielce, Talismanowej — Pártenos, Pallas, Prómachos, Hygieia, Polias — tak po ulicach Berlina można napatrzeć się dowoli na jedną i tę samą postać, scharakteryzowaną przez setne pozy i przebrania: Familijny, Wojowniczy, Ozdobny, „nasz sternik", „pierwszy myśliwy Niemiec"....

Nietylko gmachy urzędowe, ale bank, teatrzyk, schody byle gdzie prowadzące, restauracje i sklepy nie mogą się obejść bez tego portretu w gipsie, na płótnie, lub w fotografji.

Nie jest to śmieszne, owszem znamienne dla zadowolenia obywateli z władzy i jej poczynań; lojalności bowiem platonicznej, czci dla władzy z bożej łaski, trudno się spodziewać po trzeźwych mózgach tych „polityków realnych".

A zatem wszystko, co rząd niby dla chwały Niemiec podejmuje, a właściwie: czem żywi nienasyconą pychę nowej niemieckiej metropolji, ze wszystkiemi do tych celów dążącemi pomysłami, byłożby przyjmowane z powszechnym entuzjazmem, przez aklamację?

W ostatniej chwili jest nieco inaczej. Bezecne pomysły rządowe „obrony krańców wschodnich", chociaż znalazły większość w sejmie, przyjęte zostały przez publiczność i prasę conajmniej z niedowierzaniem. Nietylko gło-

sują przeciw rządowi socjaliści i katolickie centrum, ale spokojni, dalecy od polityki czynnej obywatele chwieją głowami, a publicyści z różnych obozów, nawet często nam nieprzychylnych, odzywają się z mocną naganą. I tu przyznać trzeba, że, chociaż w mniejszości obecnie jeszcze nieobliczalnej, chociaż z pobudek może nie czysto etycznych, lecz utylitarnych, obudziła się ta sprawiedliwość pruska, której postępowanie rządu z Polakami w Poznańskiem zadawało kłam oddawna. Protest przeciw skrajnym ekscesom tej polityki, z łona Prus powstający, chociażby był tylko wypadkowym naszym sprzymierzeńcem, świadczy zawsze, że sumienie publiczne istnieje tu i czuwa i kontroluje rację stanu.

Oprócz protestu Słowian austrjackich, oprócz poruszonej przez Sienkiewicza opinji całej niemal nie-pruskiej Europy, oprócz urzędowych wystąpień w obu izbach, mnożą się w dziennikach i broszurach, wychodzących z czysto niemieckiego założenia, głosy przeciwko wywłaszczeniu Polaków, skierowane bezpośrednio do pruskich prawodawców. Czy i te na nich podziałają? należy wątpić. Nie przeszkodziły już uchwale sejmu.

Jednym z najsilniejszych takich głosów jest broszura p. t. „Polacy bez ziemi" (Landlose Polen), podpisana przez niejakiego pana „Wilhelma", a wydana ze słowem wstępnem zaleca-

jącem przez Hansa Delbrück'a w przededniu zapadnięcia uchwały w sejmie pruskim. Autor poddaje projekt rządowy najsurowszej krytyce, nie szczędzi mocnych argumentów i słów gorących, aby zwrócić uwagę prawodawców, że prawo wywłaszczenia jest niesprawiedliwe, bezcelowe, a w skutkach swych może być groźne. Zdaniem jego rząd pruski przez ten akt legalnego gwałtu wyzywa do walki całą rasę polską, która tem silniejszą się stanie w tym zatargu, że będzie miała za sobą słuszność, a także rosnące dla siebie sympatje i wewnątrz Prus i poza ich granicami. Posuwa się tak daleko, że po dwakroć w swej rozprawie przypomina wyrocznię delficką, którą otrzymał Krezus, kiedy, upojony potęgą i bogactwem, zapragnął przejść graniczną rzekę Halys, aby zawładnąć Persją. Jak wiadomo, Krezus zagrzebał przez tę wojnę nie państwo perskie, ale własne — lidyjskie. Autor tak kończy swą znakomitą i śmiałą broszurę:

„Zapewne, możemy czynić i dopuścić, co nam się podoba. Bo mamy potęgę i mamy pieniądze, jak Krezus. Krezus, gdy przekroczy Halys, zburzy wielkie państwo".

Dobre to i sprawiedliwe, jako treść, a silne, jako styl. Autor godzi swą delficką pogróżką w sedno, w rzeczywiste źródło całej przeciwpolskiej polityki, w krezusową pychę sfer rządzących.

Tę pychę drażnimy ciągle nie postępowaniem naszem, lecz istnieniem; nie spiskowaniem przeciwpaństwowem, które w nas działacze pruscy wmawiają, lecz stałością przy dobrach naszych niespożytych. Mur polski stoi na zawadzie „misji cywilizacyjnej" pruskiej ku wschodowi, a obłudny najezdnik, przebierający się od wieków w misyjne szaty, pieni się od upokorzonej pychy.

Łakomstwo i pycha są wiecznie u steru nawy pruskiej. Z zadowoleniem dowiadujemy się obecnie, że między załogą odzywają się przeciw kierownikom złowrogie pomruki. Nie liczymy jednak na nie. Wyzwani przez stosowaną do nas politykę nienawiści i gwałtu do walki rasowej, liczymy głównie na siebie, na tem ściślejsze zwarcie szeregów w przedniej straży poznańskiej, na pospolite ruszenie całej rasy przeciw siłom niszczącym, które mienią się siłami cywilizacyjnemi.

Pisano w Berlinie, luty 1908 r.
(druk. Tygodnik Ill. marzec-kwiecień 1908).

Rozmowa sąsiedzka.

Berlin. Jesienna słota, brudna nawet w tem najczystszem z miast. Ulica przewala się jednak tłumem zwartym po chodnikach, płynie pośrodku nieprzerwanym dwurzędem wozów elektrycznych, benzynowych, konnych... „Dumać"... niema o czem na berlińskim bruku; tutaj nikt nie duma, tylko snuje wątek swego geszeftu. Ja zaś nie mam żadnego. Do muzeów? — za ciemno. Do teatru? — za wcześnie. Zwykła moja ucieczka w tem mieście, nie przemawiającem niczem do wyobraźni — to antykwarjaty książkowe. Pył luby na wiekowej skórze, na pozłocie bladej, zakamarki mroczne, w których czasem, raz na sto razy, znajdzie się jakiś zarzucony tomik, choćby świstek polski, lub w związku z Polską. Znają już mnie i „pole moich zbiorów", więc za fenigi nic nie sprzedadzą; na szczęście jednak nie mają pojęcia o tem, co ważne, lub rzadkie, nie umieją nawet czytać po polsku; więc czasem zdarzy się odrwić takiego antykwarjusza o tyle, że to, co mógłby sprzedać za podziesiętną cenę kupna, sprzedaje za potrójną.

Wszedłem raz do jednego z większych antykwarjuszów — i zamiast ciekawej książki zabrałem ciekawą znajomość.

Siedział nad książkami jegomość kwadratowy, krótki i sztywny, którego oceniłem trafnie, że był junkrem, nie zgadłem zaś odrazu, że i miłośnikiem książek, a nawet literatem. Tak ciasno było w pokoju, właściciel sklepu tak nas obu wciągał swą gadatliwością do wspólnej rozmowy, że wypadło wkrótce zapoznać się osobiście.

— Porucznik dymisjonowany (Lieutnant a. D.) von * * *.

Moje nazwisko podobało mu się zrazu, ale akcent mój, niedość autentyczny, spowodował zapytanie, czy jestem Szwedem, czy z prowincyj bałtyckich?

Dowiedział się niebawem, że jestem Polakiem, przyczem twarz, zasadniczo arogancka, potem rubasznie przyjazna, zastygła w wyrazie, że tak powiem — wersalskim. Tylko że wersalskie maniery do twarzy są pruskiemu junkrowi, jak „mankiety naszemu kotu".

Przeszliśmy odrazu na przedmiot wspólnego umiłowania — na stare książki. Porucznik szukał pierwszych wydań poetów niemieckich.

Trzymał właśnie w ręku „Hermana i Dorotę" Goethego, który to poemat ujrzał świat po raz pierwszy w kalendarzu na rok 1798,

przyznać trzeba, że ślicznie ozdobionym przez Daniela Chodowieckiego i innych.

Antykwarjusz żądał za ten tomik 500 marek, porucznik dawał 400 ze względu, że oprawa specjalna w jedwab była trochę przetarta.

— A niema czego dla mnie? — zapytałem antykwarjusza.

— Nabyłem książeczkę, która może pana zaciekawić — błysnął ku mnie obiecującym wzrokiem — polski druk z roku 1511.

— Dobrze — ale jaki?

Było to życie św. Stanisława przez Długosza, drukowane w Krakowie. Nie potrzebowałem tej książeczki, dość ładnej, ale pospolitej.

Porucznik odezwał się:

— Polski druk z r. 1511?! To musi być niezmiernie rzadkie?

Tego specjalnie druku mógł nie znać. Ale jako literat i bibljofil musiał przecie wiedzieć coś o polskich drukarniach. Wykrzyknik był udany.

Odpowiedziałem najspokojniej:

— Nie, to nie rzadkie. Inkunabuły krakowskie z przed roku 1500 są rzadsze, ale i tych jest sporo.

— Czyżby drukowano na dawnych polskich ziemiach już przed rokiem 1500?

— Od roku 1470 w Krakowie. Nic dziwnego — jeden z najstarszych w Europie uniwersytetów...

— Czy to naukowo stwierdzone?

— Widzę, że pan porucznik dopiero zaczął się zajmować bibljografją?

Antykwarjusz wmieszał się żywo do rozmowy i wyliczył tytuły naukowe swego klienta, który był członkiem różnych towarzystw miłośników książek.

On sam zapragnął postawić swoją pruską mość na pewniejszym gruncie i zagadnął mnie dworsko:

— Czy amatorstwo książek bardzo jest rozwinięte w Rosji?

— Nie umiem panu objaśnić.

— Ależ u państwa? np. w Warszawie?

— W Warszawie — co innego. Mamy kilka bibljotek większych i dosyć miłośników prywatnych.

— I nowy ruch literacki istnieje jakiś? Są firmy wydawnicze?

Zniecierpliwił mnie nareszcie ten dyskurs zbyt pierwotnie szyderczy pod pozorami grzeczności.

— Stwierdzam raz jeszcze — odrzekłem — że nasze życie umysłowe jest tutaj nieznane. Zupełnie tak, jak u nas berlińskie. Wiemy, że

istnieje tu jakiś *„Berliner Tageblatt"* i kilka innych gazet, że wychodzą jakieś książki, bo widzimy je, przejeżdżając przez Berlin. Ale tego nie czytamy.

— Tak łatwo obywacie się panowie bez pomocy kultury niemieckiej?

— Nie powiedziałem: niemieckiej. Mieliśmy ją w poszanowaniu od wieków, choć bardziej posiłkowaliśmy się źródłami łacińskiemi. Mówię, że kultura pruska jest nam zupełnie obca.

— To już rozróżnienie dowolne, śmiem powiedzieć — zaperzył się Prusak.

— Rzeczywiście zależne od naszej woli.

— To panowie tam, w Rosji, jesteście innego zdania, niż wasi rodacy w prowincji poznańskiej, którzy skorzystali wiele z dobrodziejstw naszej kultury?

— Ach, panie poruczniku, ja nie mówię o szosach, o kanałach, nawet nie o pługach parowych — mówimy o literaturze, o wyższych potrzebach, które pan, jako autor, tak wysoko umie cenić. Pod panowaniem pruskiem niektóre rzeczy musimy mieć z wami wspólne, aby stać na jednym gruncie na wypadek jakiejś kolizji, sprzeczności interesów...

— Wypadek nierzadki — uśmiechnął się porucznik pod wąsem — ale to już nas prowadzi do polityki... Ja nie jestem politykiem. A pan się nią zajmuje, jeżeli wolno zapytać?

— Nie zapominam o niej. Tego tośmy się nauczyli od was.

— A więc jednak czegoś? — wtrącił porucznik z nowym uśmiechem dowcipnym.

— O, i paru innych rzeczy z dziedziny historycznej.

— Zapewne niemożliwości wzajemnego porozumienia się — zgadł Prusak.

— To się nie rozciąga do stosunków towarzyskich, osobistych — dodałem grzecznie.

— Zwłaszcza gdy się ulega tej samej namiętności, na której gruncie spotkaliśmy się...

Po wymianie paru jeszcze podobnych myśli:

— Bardzo mi było przyjemnie...

— Polecam się...

Na wszystkich piętrach kultury tak się spotykają z sobą, po wiekach sąsiedztwa, po wieku pożycia pod dobrodziejstwem wspólnego państwa — Polak z Prusakiem. Porucznik-humanista, potomek, może w prostej linji, pobitych rycerzy pod Grunwaldem, wmawiał we mnie z pruską uczciwością, żeśmy nigdy nie istnieli, nie chciał nawet wymówić nazwiska naszego kraju. A dumny był przytem i sztywny,

„Jakgdyby właśnie połknął kij,
„Którym go niegdyś zbito".

(*„Kurjer Warszawski" 1 stycznia 1910 r.*)

Wartość społeczna literatury pięknej.

Nikt, zwłaszcza w czasach nowszych, nie targnął się na ułożenie w kodeks przepisów estetyki literackiej w kształcie poradnika dla piszących. I nikt rozumny nie będzie chyba nigdy próbował ująć w system tego nieuchwytnego zagadnienia: jak pisać należy piękną i dobrą książkę. A jednak zasadnicze prawidła pisarskie istnieją oddawna, wrodzone poniekąd ludzkości, skoro arcydzieła ostatnich dwudziestu kilku wieków godzą się jedne z drugiemi pod wielu względami, w aspiracjach swych i sposobach działania na czytelnika, jakby nad sztuką pisarską czuwał dotąd promienisty Apollo, lub inny emanent Najwyższej Istoty, pilnującej porządku świata w całości jego zjawisk, a zatem i w ogromnem ministerjum spraw literatury pięknej. To, co podobało się ludzkości w Grecji Peryklesa, w Italji czasu odrodzenia, na niebotycznym przełomie 18-go z 19-ym wiekiem, podoba się i dzisiaj, a mówiąc ściślej: przekładamy tylko te same wzruszenia twórcze na nowe języki, na nowe oby-

czaje, na wysubtelnione coraz bardziej narzędzia pieśni.

Prawidła kunsztu, który ludzkość snuje z siebie z godną zachwytu konsekwencją, w nieprzerwanym pędzie ewolucyjnym, nie przechowują się w kodeksach, ani w podręcznikach, lecz w tradycji wielkich pisarzy-artystów, których możnaby nazwać dynastją kapłanów sztuki. W przeciwieństwie do dynastji regentów, zbyt wystawionych na fizyczne przypadki prokreacji i na dziedziczenie przywar razem z cnotami swych przodków, dynastja pisarzy ma wolny wybór swych ojców i, dziedzicząc tylko ich ducha, bierze z nich w siebie jedynie tę część istoty trwałą i przeletnią, która okazała już swą sprawność i dostojeństwo w dziejach ludzkości.

Wielcy pisarze są zarazem arystokracją, we właściwem filozoficznem znaczeniu. Dążą do najlepszości czucia i myślenia, do najlepszości wyrazu; kochają szczerze prawdę i piękno; kochają namiętnie sztukę; nie wolno im schlebiać gminnym upodobaniom czytelników; nie wolno pisać leniwie, bez dostrojenia swych pomysłów do obowiązków kapłana sztuki i nauczyciela narodu; nie wolno nawet pisać „dla chleba". Zato pozwalają sobie nosić się górnie i mówić dumnie nietylko o swem powołaniu, lecz o sobie. Dumę tę przebaczają im łatwo spółcześni i potomni, gdy jest uzasadniona przez zasługę.

Skoro tylko ją przekracza, lub zgoła nie jest do zasług odpowiednia, publiczność ma przeciw niej broń okrutną, choć sprawiedliwą: śmiech szyderczy, który czasem nawet zabija.

Wszystkich tych cech i zwyczajów silnych i świadomych swoich celów pisarzy nie można nazwać zdrożnemi, bo każda sztuka jest w istocie swojej arystokratyczna.

Nie trzeba chyba tłumaczyć, że przeżyty i nie odpowiadający już duchowi naszej epoki arystokratyzm rodowy, genealogiczny nie ma z wyżej nazwanym nic wspólnego. Artysta rodzi się w jakiejkolwiek warstwie społecznej i zyskuje sobie przodujące w narodzie stanowisko własną siłą, uszlachcony przez powszechne głosowanie współziomków.

Ten turnus może się mylić pod wpływem czasowego oszołomienia, reklamy, zapędliwości stronniczej i różnych przemijających czynników, ale po dojściu do pełnoletności jednego lub paru pokoleń jest już nieomylny.

Arystokratyczna zatem wyniosłość pisarza mocno jest oparta na najdemokratyczniejszej zasadzie. Jest to pan z woli ludu, bynajmniej nie dziedziczny i w każdej chwili odwołalny do szeregu zwykłych obywateli.

Bardzo niebezpieczne byłoby twierdzenie, że stanowisko wziętego pisarza nie obowiązuje go do akcji obywatelskiej przez sposoby jego powołaniu właściwe, czyli przez sztukę pisarską;

że poeta ma jedynie abstrakcyjne piękno życia i słowa za cel swych utworów i tylko przez budzenie estetycznego zachwytu ma działać uszlachetniająco na społeczeństwo. To wprawdzie jego akcja główna, to istota jego twórczości, która pomnaża podniosłą rozkosz w wielu sercach bliźnich, przyczynia szerokiego tchu wielu rodakom do prac i działań, do których poeta sam ręki już nie przykłada, poprzestając na dodaniu siły i ochoty do pożytecznych rozwojów cudzych. Ale nie można — i nie godzi się wyłączać z twórczego zakresu poety akcji wyraźnie obywatelskiej, zmierzającej prosto do jakiegoś jasno określonego publicznego pożytku.

I tutaj wydobyć należy z niepisanego, lecz tradycyjnego kodeksu sztuki pisarskiej, o którym wyżej mówiłem, jedno prawidło, w ostatnich czasach fałszywie komentowane. Mówię o tezie społecznej lub moralnej w literaturze pięknej.

Teza jest nietylko dopuszczalna w dziele sztuki pisarskiej, lecz stanowi często wartość główną dzieła. Trudno wprawdzie oznaczyć granicę między tezą czysto artystyczną a społeczną, lub moralną. Każde bowiem dobre dzieło literackie ma swą tezę, czyli myśl przewodnią, panującą nad obrazami, melodjami i nastrojami. Arcydzieło literatury przedstawia mi się w kształcie gmachu, którego wszystkie części składowe i ozdoby zmierzają i naginają

się do jednego punktu szczytowego, niby do zwornika sklepiennego, lub do ostrza piramidy. Całe dzieło ze wszystkiemi szczegółami prowadzi nietylko do jednolitego wrażenia, lecz do *wniosku* logicznego, którego autor nie formułuje, lecz uważny i pojętny czytelnik *musi* sam wymówić. Ten wniosek może być rozmaity. Weźmy słynne przykłady. Po zamknięciu książki czytelnik uczuje głęboko i powie na pewno: „Jak słodka jest miłość w pięknym kraju!" („W Szwajcarji") — albo: „Straszną przywarą jest zazdrość" (Otello) — albo: „Wielka i kochana była Polska" (trylogja Sienkiewicza).

Są i wnioski bardziej złożone, których w kilku słowach wyrazić niepodobna, które jednak powstają z dzieła niechybnie i prawie jednobrzmiąco we wrażeniach kulturalnych czytelników. Całe zaokrąglone światy ze swym wewnętrznym sensem i murowaną logiką wyłaniają się z dzieł takich, jak Iliada, Faust Goethego, Pan Tadeusz, Hamlet. Są tam wnioski filozoficzne, psychologiczne, historyczno-obyczajowe — słowem snopy wniosków wyraźnych, bezspornych, istniejących namacalnie w dziele, a więc i w zamiarze autorskim. Myśli te przewodnie, założenia, nazywam „tezami" dla krótkości i dobitności wyrazu.

Całe pokolenie krytyków wczorajszych walczyło z tezą w literaturze, nazywając ją „tendencją", niegodną sztuki. Za wzór stanowiska

poety stawiano „sztukę dla sztuki". Była to kampanja nie bezcelowa, podjęta w celu uzdrowienia literatury pięknej od bakalarstwa, wprowadziła jednak pewien zamęt do pojęć estetycznych. Walczyć należało nie z „tendencją", lecz z niedołęstwem niektórych pisarzy. Tendencja bowiem jest tylko tezą wykonaną bez talentu. Ten sam zamiar autorski, wykonany przez wielkiego pisarza, mógłby się stać artystycznym i ozdobić dzieło. Hasło zaś „sztuka dla sztuki", zrozumiałe podczas walki, jak inne jaskrawe hasła bojowe (np. francuskie „Dieu protège la France", albo niemieckie „Gott mit uns") jest tylko paradoksem, którego do kodeksu estetycznego wprowadzać nie należy. Nikt nie miele mąki dla rozkoszy mielenia, jeno dla przygotowania chleba. Sztuka nie jest jedynie pijaństwem wyższego rzędu, lecz ogromną funkcją ducha ludzkiego i zaczynem najszlachetniejszych fermentów ideowych. Celowość społeczna sztuki była zawsze i będzie pierwszorzędną jej zaletą. Chodzi tylko o to, aby sztuka nie przestała być sobą, nie pozbyła się swych tradycyjnych sposobów oddziaływania na społeczeństwo, zapomocą przekazywania szlachetnych wzruszeń, sugerowania myśli, zamiast ich wykładu, porywania do czynów, zamiast kreślenia ich planów technicznych.

Literatura piękna postępuje równolegle z ogólnem życiem narodu — o krok naprzód.

Wtedy tylko jest żywa i wielka, gdy pragnie pragnieniami narodu i porywa sztandarowym błyskiem kohortę przednich duchów narodowych.

Utwory, mające za przedmiot uczucia, rozwoje lub dzieje ogólnoludzkie, o ile są arcydziełami, przynoszą równy zaszczyt i pożytek plemieniu, w którem się rodzą, zwłaszcza w Polsce, której patrjotyzm mieści się zawsze w szerokiem pojęciu dobra i postępu całej ludzkości. Jeżeli jednak wolno każdemu twórcy iść za podszeptem natchnienia, które go woła i obierać sobie stosowny do tego temat, wielki artysta, który koniecznie musi być zarazem i dobrym obywatelem kraju, zakaże sobie tematów dla społeczeństwa własnego wyraźnie szkodliwych, lub tylko niepotrzebnych. Pod tym względem nie byłoby nawet wiele do zarzucenia pisarzom polskim, których serca oddane są gorąco sprawie ojczystej. Daleki od zamiaru krytyki chcę tylko wyrazić jedną nadzieję.

Przeżywamy epokę wulkanowo-twórczą, której tu pokrótce charakteryzować nie zacznę — każdy z nas ją czuje w sobie i rozumie, że znajdujemy się na wyżynach dziejów zarówno niebezpiecznych, jak obiecujących wielkie jutro. Specjalnie los nasz, Polaków, pełen jest tragizmu. Z zapartym oddechem wyczekujemy skutku zmagania się olbrzymów uzbrojonych,

my jeszcze bezbronni. Zaparło też oddech naszym pisarzom, którzy piszą wstrzemięźliwie, a skarby swych wrażeń i doświadczeń, zarówno jak siły swe napięte, a niewyładowane chowają na jutro. Jutro — może rychło już? uderzą w swe lutnie. Czy namyślać się wtedy zechcą, azali godzi się brać za temat pieśni — Ojczyznę? — Że to nie „sztuka dla sztuki", lecz służba społeczna, krwawa praca odbudowy z gruzów i odbudowy z Ducha? Nie! nie wierzę.

Gromy wojenne otrząsły serca poetów z rdzy i pleśni, któremi porastały w czasie więziennego bytowania Ojczyzny. Mamy już radosne przykłady powrotu niesfornych, lub zapatrzonych w jeden tryb ogromnego mechanizmu życia narodowego pisarzy polskich do prostych, jasnych obowiązków synowskich względem Ojczyzny, która im natchnie zdrowe i pożyteczne „tendencje" bez ubliżenia ich talentom, bez hamowania ich wysokich lotów.

Naród nasz potrafił po mistrzowsku zaintonować pieśń swą w okresie niedoli, utrzymać pieśnią całość i niepodległość Ducha. Potrafi jutro zagrać pieśń swą triumfalną.

Czekamy na rozkwit wielkiej, budzącej i budującej życie nowe literatury narodowej.

(*„Tygodnik Illustr." 5 paźdz. 1918.*)

Muzyka wiersza Słowackiego.

Słów kilka powiem o rzeczy tak prostej, że prawdziwym miłośnikom sztuki pisarskiej wydać się mogę zbytecznym prelegentem. Ale szeregi piszących u nas, a tłumy czytających zdają się zapominać o głównej zasadzie i uprawnieniu rymowanej i metrycznej mowy, która jest rozśpiewaniem myśli.

Wszystko co się da o tym przedmiocie powiedzieć, zawiera się dokumentnie i pomnikowo w pieśniach Słowackiego. Nie dotknę dzisiaj głównej treści wielkiego Ducha, pragnę coś powiedzieć o technice genjalnego śpiewaka, który mowę polską wysilił do rozkwitów bujniejszych i urodzajniejszych nad wszelki przykład w naszej, a może i we wszechświatowej literaturze.

Słowo, źródłosłów swego nazwiska, opanował Słowacki wszechmocnie, a zwłaszcza to, co nazywam muzyką wiersza. Słowo poety służy przedewszystkiem myśli, a dobór dźwięków jest mu sztuką pomocniczą, choć niezbędną; jest też najszlachetniejszem zastosowaniem muzyki, która w arcydziełach poezji dochodzi

do współistnienia z myślą. Kiedy poeta w wierszu poświęci coś z wyrazistości myśli dla dźwięku, albo przeciwnie — pozwoli wyrazom spotkać się mniej harmonijnie w celu dobitniejszego wyrażenia myśli — wiersz będzie niedoskonały. A przecie rzec można, że każda myśl ma formę swą doskonałą gdzieś za błękitami, skąd ją mistrz lotny wydobyć umie. Te arkana sztuki pisarskiej, stosujące się i do prozy, posiada Słowacki w stopniu najwyższym. Urok jego wierszy polega na tem, że obejmując czytelnika ciągłym czarem śpiewu, zastanawia go niemal przy każdem zdaniu nad składnią poetycką idealną, wyrywa mu z piersi okrzyk: Tego ani zaśpiewać, ani powiedzieć lepiej niepodobna

Nie tak pewny budowniczy całości, jak Mickiewicz, ale prześcigający go bogactwem materjałów językowych i śmiałością ich kombinacyj, Słowacki daje najwyższą rozkosz nerwowo-estetyczną (jeżeli tak powiedzieć można) przy smakowaniu pojedyńczych strof, utworów krótkich, lub wyjątków z dłuższych. Człowiek z rozbudzonym intelektem może zażywać dzieł Słowackiego na wszelkie godziny życia podniosłe i gorące, jak inny zażywa muzyki.

Aby się lubować wierszem Słowackiego, trzeba znać język polski do gruntu, a zarazem mieć dobry słuch muzykalny, gdyż ten potentat mowy ojczystej włada nią w sposób niemal ar-

bitralny i zdaje się liczyć na gruntowne przygotowanie czytelnika. Rzecz dziwna, że mistrz taki mało stosunkowo dodaje wyrazów nowych, przez siebie stworzonych. Prawdziwem czarodziejstwem Słowackiego jest nadawanie mocy i wartości wyrazom prostym, niemal pospolitym, przez oryginalne, nadprzyrodzone ich ustawienie. Tu trzeba cytować.

„Zrazu myślałem, że ten, co się wdziera,
Blask — była struna to z arfy Homera."

Proszę się przypatrzyć i przysłuchać temu dwuwierszowi, zrobić z niego rozbiór gramatyczny i muzyczny. Są to trzy zdania, które w prozie brzmiałyby tak:

Zrazu myślałem, że blask, który się wdziera, był struną z arfy Homera.

Myśl prawdziwie poetyczna, dobyta z grobu Agamemnona, piękna już i w szkolnej prozie, jakich nabiera skier i promieni w melodyjnym układzie poety! A dzieje się to tylko przez odmienne ustawienie wyrazów, przez zamianę zaimka „który" na „ten, co" i przez dodanie krótkiej partykuły „to". I wiązanka słów, oczyszczona ze spotkań spółgłosek, trafia do ucha i do pamięci melodją najczystszą, myślą nieskaleczoną, mądrze śpiewną. W tym samym dwuwierszu można wykazać kunsztowny porządek słów, naprzykład przeniesienie na początek drugiego wiersza wyrazu „blask", gdzie uderza

i błyszczy świetniej, niż gdyby był zgubiony między średniówką a końcówką pierwszego wiersza.

O miejscu i wadze każdego wyrazu możnaby pisać długo. Jak w akordzie, jak w greckiej amforze, jak w uśmiechu głowy Lionarda nie można tu nic ruszyć z miejsca; warjant wydaje się niemożliwy.

„Na Termopilach bez złotego pasa,
Bez czerwonego leży trup kontusza,
Ale jest nagi trup Leonidasa,
Jest w marmurowych kształtach piękna dusza —
I długo płakał lud takiej ofiary,
Ognia wonnego i rozbitej czary.“

Nie będę nużył czytelnika dalszem rozkruszaniem tego spiżu na okruchy. Proszę jednak stwierdzić w wyżej przytoczonej strofie heroiczne oświetlenie przyimka „bez“ tak idealnie związane z myślą przewodnią poematu „Grób Agamemnona“, na którą choćby się i nie godzić, niepodobna nie podziwiać wichru tej wymowy, tak opanowanego przez myśl i melodję. Dwa ostatnie wiersze, niezwiązane z treścią główną — przelotna wizja żałoby po Leonidasie — to pod względem melodji wzór przejścia z tonu majorowego w minor.

Zawieszenie najprostszych wyrazów na szczycie wyrzeźbionej strofy, niby kwiat zatknięty w lekytos ateński, jest jednym ze spo-

sobów Słowackiego dla wywołania zapierających dech wzruszeń.

W cudownym wierszu miłosnym do Ludwiki Śniadeckiej, kończącym trzecią pieśń „Beniowskiego“:

. . . „Anioł twój bez skazy
Na mojej piersi spał, a łza gorąca
Nigdy mu białych skrzydeł nie splamiła;
Twa dusza znała to i przychodziła.“

Jest to strofa z tonu Ł, nadzwyczaj wyszukana w obrazowaniu, a zakończona wyrazem tak prostym: „i przychodziła“.

Rzadko używa Słowacki onomatopei, czyli naśladowania dźwięku, o którym w wierszu mowa; wiersz jego dźwięczy sam przez się pokrewnie do treści według prawideł harmonji raczej muzycznej, niż dźwiękowo naśladowczej. Lubi sam o tem mówić i powraca parę razy w „Beniowskim“ do słusznego zachwytu nad własnym kunsztem śpiewaczym. Strofy te znają chyba czytelnicy napamięć? Może jednak niektórzy nie zauważyli subtelnych akcentów fonicznych, które Słowacki kładzie na wyrazach, aby przypomnieć naprzykład dźwięki mowy obcej. W „dumie o emirze Rzewuskim“:

„Z modlitwą Araba był w gmachach Kaaba“...

Ktokolwiek słyszał mowę turecką, przypomni ją sobie w tem miejscu.

Albo dalej w tej samej dumie:

„Cieszył się car ruski, że emir Rzewuski
W stepowym śpi cicho kurhanie."

Aby prawidłowo przeczytać ten wiersz tak wyraźnie metryczny, trzeba pierwszy czasownik wymówić z akcentem rosyjskim. Trudno przypuścić, żeby pomyłka rytmu była tu mimowolna. Na samej „dumie o emirze" możnaby dowieść nieskończoności tonów, pochyleń głosowych, popisów muzycznych, któremi tutaj bawił się widocznie Słowacki i tak przykrył niemi treść dość błahą legendy, że się ją prawie pomija, a pamięta tylko szatę poetycką, która „lśni jak mozaika, śpiewa jak słowiki".

Mistrz tonów poetyckich, mający zawsze na zawołanie wszystkie słowa polskie istniejące, znawca ich wartości, wzajemnych refleksów, ich dźwięku w eterze i dźwięku w duszy, Słowacki stwarza sobie zupełnie nową składnię i fonetykę. Choć nas zapewnia, że gdyby

„ . . . ów Jan Czarnoleski
Z mogiły powstał, on było zrozumiał,
Myśląc, że jakiś poemat niebieski,
Który mu w grobie nad lipami szumiał,
Słyszy, ubrany w dawny rym królewski,
Mową, którą sam przed wiekami umiał —
Potemby, cicho mżąc, wspominał sobie,
Że nie zapomniał mowy polskiej w grobie."

Możeby tak było, jak chce Słowacki? Ale cień Kochanowskiego mógłby też i ukorzyć się przed tą pięknością samorodną, tą muzyką jemu nieznaną mowy Słowackiego, gdy tymczasem niedawno jeszcze Krasicki, Trembecki i inni żyli tradycją mistrza z Czarnolasu. Muzyka wiersza Słowackiego nie ma prawie poprzedników w naszem piśmiennictwie. Ton i tok jego mowy — to największe wynalazki w fonetyce artystycznej polskiej, panujące po dziś dzień. Można powiedzieć, że Mickiewicz, jako muzyk, stoi niżej, choć mu nikt nie dorównał w mądrości i w plastyce słowa.

A jednak Mistrz, który nadał prawa mowie poetyckiej nowożytnej, znał do głębi zasoby jej uprzednie. Fragment dramatu „Złota Czaszka" służyłby sam jeden za dowód, jak Słowacki potrafił archaizować, naśladując, ale i poprawiając język 17-go wieku. Jego słuch filologiczny jest zdumiewający zarówno w tym wypadku, jak w wielu innych, gdy przyswaja literaturze naszej tony obce, np. Byron'a lub Calderon'a. Wchłania i przetwarza, daje polskie ekwiwalenty.

Słowacki panuje przeważnie nad tonem poezji najnowszej. Kto ze spółczesnych zbliżył się bardziej formą do naszych pragnień artystycznych dzisiejszych, do tych drżeń nerwowych, łaknących balsamu pieśni, a nieokreślonych w zupełności przez myśl jasną, jeno przez wie-

jącą gdzieś w nas, gdzieś ponad nami, nieuchwytną harmonję myśli? Kto bardziej, niż urodzony przed stu laty Juljusz Słowacki? Przytoczyćby tu trzeba całego „Króla-Ducha" i mnóstwo poezyj ulotnych. Z powodu małego zakresu niniejszego szkicu poprzestanę na przypomnieniu wiersza p. t. „Rzym".

„Nagle mnie trącił płacz na pustem błoniu:
„Rzymie! nie jesteś ty już dawnym Rzymem" —
Tak śpiewał pasterz trzód, siedząc na koniu.
Przede mną mroczne błękitnawym dymem
Sznury pałaców pod Apeninami,
Nad niemi Kościół ten, co jest olbrzymem"...

Proszę przypomnieć sobie do końca. Nie można być wymowniejszym tłumaczem tęsknot nerwowych, poczuć atmosferycznych, pragnień muzykalnych. Nie można silniej oddać porywów duszy obłędnej — *animula vagula.*

W tych nastrojach pozostaje Słowacki mistrzem dotychczas niezrównanym, muzykiem przyszłości. Porzucając dobitność i wyrazistość filozoficzną, daje tutaj folgę swemu genjuszowi malarskiemu i muzycznemu, wkracza w zespół wszystkich sztuk w jedną, o którym śniło się francuskim dekadentom, daje tych prób rozmarzające wyniki, najwyższe, na jakie zdobył się świat poezji. Tutaj jest najnowożytniejszym ze wszystkich, bo oprócz pragnień, które go już

wówczas, jak i nas dzisiaj, nawiedzały, posiada tę muzykę wiersza, o której mówię, w stopniu dotychczas niedoścignionym.

Ale nie byłby sobą, gdyby tego Bożego daru użył tylko dla popisu, albo się wyrzekł najwyższego dostojeństwa poety: silnego opanowania myśli przez jasne słowo, które „jak piorun błyska". Więc najpiękniejszych swych tonów używa Słowacki w utworach przezroczystych, jak dzień, a przecie dotychczas nam drogich i odpowiadających najwyszukańszemu smakowi nowożytnemu. Z dzieł Jego można zresztą wybrać arcydzieła wszystkich tonów.

Moc liryczna — *vis lyrica* — takich wierszy jak „Smutno mi Boże!" „Grób Agamemnona", „Wschód słońca nad Salaminą", muzyka żołnierska w „Pogrzebie kapitana M.", wdzięk, przychylony do dziecka w tym wierszyku:

„Niechaj mnie Zośka o wiersze nie prosi"..

pozostają do dni naszych niezrównanemi.

Traktaty trzebaby tu zacząć o tonach wierszy miłosnych, o grzmotach dramatów. A dopiero zapadłszy w rozmyślanie nad tonacją poetycką Króla-Ducha lub Anhellego — porzucić szkiełka krytyka i przytaczać bez końca wiązania słów, które są szeregiem wynalazków i objawień muzycznych.

W barbarzyńskim zamęcie naszych dzisiajszych pojęć o pięknie, razem z innemi dobyt-

kami wieków i ta muzyka wiersza zdaje się popadać w zapomnienie. Zdumiewający zachwyt budzą

„pieśniarze,
Którym dziś klaska tłum (i) mowa smętna,
Co myślom własne odejmuje twarze"...

Na szczęście jednak dla przyszłości naszego piśmiennictwa żyją obok ulubieńców tłumu prawdziwi poeci i głosy swe czyste, niezależne od mody, dostrojone do przemożniejszych nakazów wiecznego Piękna, niosą tam, gdzie najwyżej wdarł się Słowacki — na skałę polskiej Polihymnji.

(*„Kurjer Warszawski" 1 stycznia 1909.*

Cześć pamięci Dionizego Henkiela.

Skończył się żywot długi i szczytny — nie sobie tylko świecące zagasło światło. Wielu z nas nie widziało ś. p. Dionizego Henkiela już oddawna; dla młodszych był on tylko postacią legendarną, streszczającą dostojnie „dawnych Polaków dumę i szlachetność". Dogasał długo w poważnej ciszy, w skupieniu podniosłego ducha, ale w samotności i w nędzy. Nie zaznał w życiu tego, co przywykliśmy nazywać rozkoszą; nie święcił pospolitych triumfów. A był to przecie jeden z mocarzów myśli polskiej, nieskalany wzór obywatela, męczennik za swoją i naszą wiarę. Losy jego były wyrazistym skrótem losów narodu z epoki między ostatnim zbrojnym porywem do niepodległości, a dzisiejszym dniem wyzwolenia, którego Dionizy Henkiel dożył — choć w szpitalu.

Zaledwie pełnoletni (urodzony w r. 1842) Henkiel w r. 1863 porzucił studja na uniwersytecie w Kijowie, aby zaciągnąć się do szeregów powstańczych. Uczynił to bez wahania, za nakazem krwi, którą dziedziczył po prapradziadzie swym Marcinie, kapitanie, „przypuszczo-

nym do szlacheckiego klejnotu za odwagi rycerskie", z zalecenia hetmanów, na sejmie 1662 r. (Vol. Leg. IV, 425). Poszedł z przekonania, że ofiara jemu przystoi, a należy się Ojczyźnie. Tak jego zamiar młodzieńczy może zdefinjować niezawodnie każdy, kto znał jego żywot późniejszy, w wielkim stylu. Niedługie było wojowanie żołnierzyka. Zaraz na początku kampanji ujęty przy przewożeniu broni powstańczej przez rzekę, uwięziony został i skazany na śmierć. Wyrok złagodzony następnie na wygnanie popędził go na Sybir, w kajdanach i pieszo. Typowy los prawego Polaka z owej epoki; męczeństwo tak było powszechne, że się nam dzisiaj, z oddalenia, wydaje łatwem. Nie chcę jednak pominąć kilku szczegółów tego pędzenia etapami przez ćwierć lądu, bo wyjątkowe są i prawie cudowne.

Henkiel szedł w licznej grupie skazańców, umyślnie pohańbionej przez pomieszanie polskich rycerzy ze zbójami i złodziejami. Numery ludzkie skute były po dwa jednym łańcuchem. Nie znam nazwiska towarzysza przykutego do pary z naszym rodakiem, wiem tylko, że ten towarzysz umarł z wycieńczenia na jednym etapowym noclegu. Ponieważ dozorcy nie chcieli sobie snu przerywać, a może i dlatego, że niebezpiecznie było budzić ich cielska i nieobliczalne instynkty, Henkiel przeleżał do rana, przykuty do trupa.

Ale powstało się z tej zmory. Szło się dalej znośnie, dopóki nie zaległy bezmiary śniegu i dopóki w kieszeni błąkały się resztki pieniędzy. Na etapach można było dokupić czasem czegoś, oprócz „kazionnego" chleba i wody. Szedł zaś w kompanji pewien pogodny „pareń" moskiewski, lekko noszący na sumieniu przewinę koniokradztwa, czy morderstwa. Towarzyszyła mu młoda żona i drobny synek. Ta rodzina nie miała wcale pieniędzy. Henkiel, przez wrodzoną dobroć i wspaniałość, która go powodowała zawsze do oddawania bliźniemu jednego z dwóch posiadanych groszy, kupował na etapach mleko dla głodnego dziecka zbrodniarza.

Aliści po miesiącach wyczerpał się zapas grosza, droga stawała się cięższą przez coraz głębsze śniegi, pokarm coraz bardziej „kazionny". Dochodziło się ostatnim tchem do majaczącego w nocy lodowatej światełka etapu, kładło się na pował, na gołe deski, ciało głodne i śmiertelnie utrudzone. Organizm naszego wygnańca dotrzymał aż do Uralu. Tam zachorował Henkiel na tyfus brzuszny i pozostawiony został w szpitalu.

Był to dom założony dla skazańców, ulgowy do lekkiej śmierci. Chorych karmiono strawą żołnierską: kapustą i zakalcem. Taka dieta przeprowadzała tyfoidalnych na tamten świat w przeciągu dni kilku, poczem można ich było

już sumiennie obrać z butów, z ubrania i z wszelkich rzeczy przydatnych dla „narodu". Chory Henkiel, którego młody duch na szczęście wyrywał się do życia, wzbraniał się przez dni kilka od przyjmowania zabójczej strawy. I tu stał się cud — nie powieściowy, nie wyszukany dla rozrzewnienia czytelnika, lecz realny. Towarzysz z kompanji etapowej, ów zbójca, ojciec ładnego dziecka, został posługaczem w szpitalu. Wdzięczny za jałmużnę, ofiarowaną dawniej synkowi, oddawał ją teraz dobroczyńcy. Przynosił Henkielowi codziennie — może ukradzioną? lecz zbawczą — szklankę mleka[1]).

Ocalony z bezecnej jaskini szpitalnej przeniósł się Henkiel w głąb Sybiru, do Irkucka, gdzie przebył lat kilka względnie pogodnych i czynnych. O męczeńskiej swej wędrówce nie opowiadał nigdy, ale o pobycie na Syberji wspominał bez goryczy. Nie w ścisłem trzymany więzieniu, lekcjami zarabiał na życie, a osobistym swym urokiem, który go do późnej starości opromieniał, zyskał sobie wielki mir u współwygnańców, uznanie zaś nawet u miejscowych Rosjan. Niepomny doświadczonych na własnej skórze represalij, młody Henkiel

[1]) Nie godzi się wątpić o autentyczności tego zdarzenia. Opowiadało mi je zgodnie kilku współwygnańców ś. p. Henkiela. Gdym raz jeden zapytał o to pana Dionizego, potwierdził, a człowiek ten nigdy nie kłamał.

snuł dalej główny swój wątek, który daje się streścić w tych prostych, lecz nabrzmiałych jednolitą treścią wyrazach: wszystko dla Polski! Działalność Dionizego Henkiela wśród Polaków na Syberji była nietylko patrjotyczna, ale i spiskowa przeciw odwiecznym bezprawiom. Zdołał się jednak tym razem od następstw spisku uchronić.

Uwolniony nareszcie z Syberji, otrzymuje zrazu prawo osiedlenia się w Rosji europejskiej, następnie strzeżonego zbliska przez policję puszczają go władze moskiewskie do Warszawy, gdzie przybył w r. 1870 i zamieszkał do końca życia przy ulicy Mazowieckiej nr. 9 w jednej izbie nad stajniami. W tym okresie znałem go blisko przez ostatnich lat trzydzieści.

Od przybycia do Warszawy staje się Henkiel w 28 roku życia literatem i dziennikarzem; zrazu recenzentem w *Tygodniku Illustrowanym* pod redakcją Jenikego, następnie spółpracownikiem *Wieńca*, redagowanego przez Wład. Bogusławskiego; od r. 1873 obejmuje niektóre działy w *Gazecie Polskiej*, wreszcie główne kierownictwo polityczne i literackie tejże gazety w zastępstwie naczelnego redaktora Edwarda Leo. Zachowując to kierownictwo aż do roku 1897, zabiera się gorliwie, z Władysławem Bogusławskim i ze mną, od r. 1891, do reorganizacji *Bibljoteki Warszawskiej*, którą redaguje aż do jej zamknięcia podczas

wojny r. 1914. Umieszcza w wymienionych wydawnictwach dużą ilość artykułów i studjów literackich, politycznych, socjologicznych, pisanych zawodowo i świetnym językiem. Bardzo rozmaite co do treści i rozmiarów, te artykuły mają cechę wspólną: są bezimienne, rzadko podpisane kryptonimem, najczęściej niepodpisane wcale. W młodości był też Henkiel gorącym poetą patrjotycznym ze szkoły Zygmunta Krasińskiego.

Ta nota o pismach ś. p. Dionizego Henkiela nie jest oczywiście przeglądem jego dzieł, z których jednak można wysnuć i zadokumentować jego subtelną estetykę, przemyślaną linję polityczną, erudycję gruntowną, nabytą przeważnie poza szkołą, którą wcześnie porzucił dla walki zbrojnej. Nota wystarcza tylko, aby zaznaczyć, że Henkiel był zawodowym literatem.

Ale nie w twórczości literackiej skupia się głównie jego siła, jego wielka wartość i dobroczynna wydajność dla narodu. Henkiel aż do przesady był obojętny na karjerę, zyski, dobrobyt i wygody osobiste, nie dbał nawet o rozgłos swego imienia. Działalność literacką własną uważał za coś podrzędnego i akcesorycznego. Całej swej energji i doświadczenia używał do pobudzenia talentów cudzych. Takie poświęcenie swoich zasobów i swoich zadowoleń twórczych na korzyść innych — cechuje może niektórych pedagogów. Ale Henkiel nie

uczył dzieci. Natomiast ludzi dojrzałych, czasem i rówieśników, do których sprawności i talentu miał zaufanie, przyjmował otwartem sercem do swego instytutu inspiracyjnego. Największą rolą Henkiela w życiu polskiem była rola inspiratora.

Nie ograniczała się ona bynajmniej do zwyczajnych funkcyj redaktorskich. Henkiel miał swoich wybrańców, klientów, czy ideowych krewnych, których twórczością, podwyższeniem lotu, ozdobą stylu zajmował się niby własnemi. Potrafił godzinami słuchać mówionych planów, potem czytania bruljonów, poprawionych i jeszcze ostatecznych tekstów. Przejmował się serdecznie cudzem dziełem powstającem, chwalił lub ganił zapalczywie, nie poprawiał sam nigdy, lecz zmuszał poprostu autora do przeróbek, dopóki obaj — on i autor — doszli do przekonania, że tak właśnie najlepiej.

Niktby się nie poddawał tej tyranji, gdyby nie okazywała się bardzo skuteczną. Bo Henkiel był niepospolitym znawcą literatury, sposobów i możliwości pisarskich, nadzwyczaj czułym na muzykę wiersza i prozy. Miał swą estetykę, etykę i katechizm narodowy mocno zbudowane, ale umiał przenikać cudzą indywidualność pisarską, stosować się do niej, nawet jej schlebiać, przez co podniecał zapał autora do dzieła i popychał go jawnie, lub zapomocą przedziwnych sugestyj, ku doskonałości. Pod

sądy Henkielowe poddawali ochotnie swe projekty i dzieła najwybitniejsi pisarze epoki, a dług zaciągnięty u przyjaciela wypłacali, jak każdy mógł społeczeństwu. Takim sposobem siał ten jasny duch swoje promienie przełamane przez pryzmaty cudze.

Wpływ Dionizego Henkiela na epokę nie ograniczał się do literatury. Całe grono uczonych, polityków i ludzi różnych powołań — byle tylko nieskazitelnych Polaków — przychodziło do izdebki, gdzie zasiadał dobry mistrz, lub szukało go po paru ścieżkach, któremi chadzał do redakcji, lub do najzaufańszych przyjaciół. Rady i rozmowy poufnej nie dostępował jednak kto chciał; selekcja była wybredna.

W czem właściwie tkwiła urocza i potężna siła atrakcyjna tego nadzwyczajnego człowieka, który przecie nie był ogłoszonym „mistrzem", nie szafował popłatnemi miejscami i pozycjami, nie mógł zapewnić swym klientom bezpośrednich korzyści, będąc sam ubogi i niestaranny o względy i nagrody? Odpowiedź nie da się zawrzeć w paru wyrazach, wiadoma jest jednak tym, którzy jak ja korzystali z jego dobrodziejstw.

Mieszkał w tym człowieku wielki Duch — niby wzmożony aglomerat tej siły twórczej i przewodniej, którą we własnej piersi nosi każdy artysta i każdy gorący Polak, w więk-

szym lub mniejszym zapasie. Duchy przyciągają się wzajemnie, gdy są jednakiego składu; wymieniają swe prądy, a gorejące duchy — swe promienie proporcjonalnie do swych rozmiarów. Przez tę formułę, prawie ścisłą daje się wytłumaczyć wielki wpływ Dionizego Henkiela na twórczość literacką i kierunek myśli polskiej, jak również wyłączność jego działania na niektóre tylko indywidua.

Z dwóch przeważnych składników złożony był duch Dionizego Henkiela: z artyzmu i z najczystszej miłości Ojczyzny. O pierwszym już wspomniałem.

Patrjotyzm zaś jego był najwyższej próby. Nie miał nic wspólnego z szowinizmem, który uwielbia zarówno zalety, jak wady narodu; nie popadał w partyjność, zasłaniającą często interes ogółu przez interes stronnictwa. Henkiel nigdy do żadnego stronnictwa politycznego nie należał. Jego patrjotyzm miał jeszcze jedną cechę rzadką, a zarazem potrzebną, nawet w niewoli: był dumny.

Henkiel przykładał do polskich poczynań, przeszłych i przyszłych, miarę wielkiego narodu; czuł się, jako Polak, równouprawniony w godności z wielkiemi narodami; nie poszedł nigdy na ugodę z wrogiemi nam interesami obcych. Nie przywoływał w przyszłości żadnej innej Polski, jak całą, dumną i niepodległą; a jeżeli w warunkach beznadziejnych nie na-

mawiał już do zbrojnego powstania, utrzymywał siebie i swoich w stanie buntu dusz na przyszły dzień wolności.

Dusza to była romantyka, filarety i filomaty, jakby przeniesiona z epoki Mickiewiczowskiej, bez uszargania w materjalizmie, a tem bardziej w nowożytnej, kosmopolitycznej religji pieniądza. Z duszy tej przezroczej buchał niegasnący płomień miłości, dawał się oglądać, oświecał i grzał i rozwijał zbliżone do niego ziarna.

I ten jest wielki czyn Dionizego Henkiela: stworzenie Wzoru doskonałego i dumnego Polaka w epoce, kiedy Polską poniewierali obcy, a właśni Jej synowie upadali często pod ciężarem swego losu narodowego.

Czy wiadomo skąd się bierze poryw miljona serc i zamach miljonów rąk do czynu? Czy dostrzegł kto pierwsze drgnienie zamiaru budowań? Czy uchwycił kto w locie iskrę nakazu z jednej duszy ludzkiej na inne i na pokolenia? — A jednak we wszystkiem, co się dzieje i trwa, istnieją jawne skutki tych niewidzialnych początków, wpływów i prądów. — W Polsce, która już jest, a szczególniej w tej, która będzie, żyją i żyć będą duchowe dzieła Dionizego Henkiela.

(*„Kurjer Warszawski“ 30 maja 1920.*)

SPIS ROZDZIAŁÓW.

	Str.
Słowo wstępne	1
I. Rozdział	3
II. Rozdział	23
III. Rozdział	30
IV. Rozdział	43
V. Rozdział	50
VI. Rozdział	61
VII. Rozdział	75
VIII. Rozdział	97
IX. Rozdział	109
X. Rozdział	119

DODATKI.

Berlin	141
Rozmowa sąsiedzka	161
Wartość społeczna literatury pięknej	167
Muzyka wiersza Słowackiego	175
Cześć pamięci Dionizego Henkiela	180

Printed in Poland